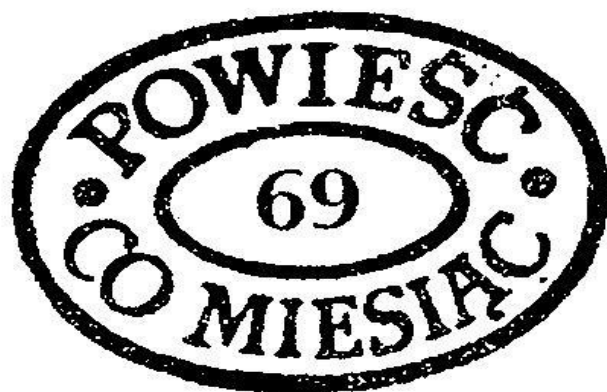


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Waldemar Kurzejewski
TURYSTA Z DURBANU



Minęły już dwa lata od czasu, kiedy Janka wyjechała do Durbanu w południowej Afryce.

Dla pani Zgierskiej był to okres bardzo długi. Początkowo otrzymywała od córki systematycznie listy. Cieszyła się, bo listy były pełne radości i ciekawe. Każde zdanie, każde słowo świadczyło o zadowoleniu Janki. A to było najważniejsze: niczego tak nie pragnęła, jak szczęścia córki. Model tego szczęścia był może zbyt abstrakcyjny, mało realny jak na polskie warunki. Pani Zgierska uważała, że tylko bogactwo może zapewnić córce wszystko w życiu. To swoje przekonanie potrafiła zaszczepić Jance. 1

obie kobiety, matka i córka, oczekiwały królewicza z bajki, który jakoś się nie kwapił przestąpić skromnych progów ich mieszkania.

Zupełnie nieoczekiwanie samo życie podsunęło im niecodzienną szansę.

Po ukończeniu szkoły średniej Janka zaczęła pracować. Wyglądało na to, że po zdobyciu praktyki osiadzie w księgowości. Nic z pracą jednak wiązały obie z matką nadzieje na przyszłość.

Janka wyrosła na przystojną, zgrabną dziewczynę; podobała się chłopcom. Wysoka blondynka, o ciemnych oczach i ciemnych brwiach, budziła zainteresowanie w męskim gronie znajomych. Pani Zgierska prawie nie dbała jednak, aby te młodzieńcze znajomości nie przerodziły się w trwałe uczucie.

Janka właściwie nie miała nigdy swojego chłopca; czekała na odpowiedniego kandydata. Zamążpójście miało uwolnić je od tego ciągłego borykania się z niedostatkiem, z brakiem pieniędzy. Pani Zgierska

— mimo własnych przykrych doświadczeń

na tym polu — uważała małżeństwo za jedyny środek do osiągnięcia dobrobytu. Wydawało jej się, że posiadanie pieniędzy automatycznie wyklucza wszelkie kłopoty; że dobrobyt jest światłem, które rozjaśnia nawet najciemniejsze zakamarki życia.

Teraz nie pamiętała już dokładnie, w jaki sposób Janka poznała tego przystojnego, kruczoczarnego, z oryginalnym wąsikiem, obcokrajowca.

Kiedy dowiedziała się o tej znajomości, postanowiła niezwłocznie zaprosić niecodziennego gościa do domu. Trudności językowe stanowiły niewielką przeszkodę.

Właściwie już w czasie tego pierwszego spotkania dowiedziała się wszystkiego, co ją interesowało. Gość miał przy sobie zdjęcia, które zaraz wyciągnął i pokazywał piękną willę i okazały budynek, gdzie mieściła się firma, w której pracował. Był przy tym miły, grzeczny, ujmujący. Obie kobiety były zachwycone. Właśnie to był człowiek, o jakim marzyły.

Takiej szansy pani Zgierska nie mogła zaprzepaścić. Z wrodzoną sobie przedsiębiorczością ujęła w ręce wszystkie nici i — jak jej się zdawało — z taką umiejętnością pokierowała sprawami, że wszystko zaczęło przebiegać po jej myśli. Czowała się przy tym jak hazardzista, który gra o wysoką stawkę, z tą tylko różnicą, że nie ślepy los podrzucał jej karty, ale ona sama je dobierała.

Cel swój osiągnęła. W niedługim czasie odbył się ślub młodej pary, która wkrótce też wyjechała do dalekiego, obcego kraju na drugiej półkuli. Durban — miasto, o którym dotychczas nawet nie słyszała — stał się jej naraz bliski. Chłoneła każdą o nim informację. Chciała wiedzieć jak najwięcej.

Tak minął pierwszy rok. Właśnie od tego czasu listy zupełnie się odmieniły. Janka zaczęła pisać o kłopotach finansowych, o tym, że ich firmę trzeba ratować przed upadkiem, ale — dodawała zaraz — to nic groźnego; John zastosował niezbędne środki zaradcze. Chwaliła się, że ona również mu pomogła.

Coraz częściej wracała w swych listach do wspomnień. Pisała o szkole, nauczycielach.

koleżankach, o domu, a nawet

o swej pracy w biurze, którą dawniej niezbyt była zachwycona. Niemal każde zdanie zaczynało się od słów: „najdroższa mameczko“, „najukochańsza“, „najmilsza“.

Tłumaczyła to sobie pani Zgierska na swój sposób. Córka musi przeżywać jakiś kryzys, a przy tym dręczy ją tęsknota za krajem.

Pewnego dnia nadszedł list, który sprawił, że wielki niepokój ogarnął panią Zgierską. Czytała go już po raz nie wiadomo który i wciąż odkrywała w nim coś nowego, na co poprzednio nie zwróciła uwagi. Treść listu była bardzo dziwna: pełna jakichś niedomówień, aluzji, zdań na poły ironicznych, na poły przepelnionych goryczą. Matka wyczuwała, że kryje się za tym jakiś nie znany jej dramat. Gubiła się w domysłach, odpędzała niespokojne myśli, które ustawicznie podsuwała jej rozbudzona wyobraźnia. Co oznaczało to sformułowanie: „Udało mi się przekroczyć próg, za którym kryje się szczęście, o którym obie nawet nie śniłyśmy“. Albo: „Pracę mam ciężką i lekką zarazem — zależy od punktu widzenia“. Dlaczego Janka nic napisała jasno, o co chodzi?

Pani Zgierska nic mogła się uspokoić. Tysiące domysłów przelatywało jej przez głowę; jeden straszniejszy od drugiego. Niepokój się potęgował. Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Dręczyły ją wątpliwości, czy dobrze postąpiła godząc się bez zastrzeżeń na ślub i wyjazd córki do obcego kraju.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Nic mogła doczekać się rana. Ubrała się o wiele wcześniej, aniżeli to było konieczne.

Wsiadła do tramwaju. Od przystanku do

Pałacu Mostowskich był już tylko kawałek drogi. W wydziale paszportów Komendy Stołecznej MO przedstawiła swoją prośbę. Spodziewała się, że może tu uzyskać informacje o kimś, kto jedzie do Durbanu. Urzędniczka przez chwilę się zastanawiała, po czym zaproponowała jej, żeby się zwróciła w tej sprawie do naczelnika wydziału.

Ten, o dziwo, przyjął ją nadspodziewanie szybko. Wysłuchał cierpliwie całej historii, w zamyśleniu patrząc w okno. Kiedy skończyła, poradził jej, żeby zwróciła się do innego wydziału. Nawet ułatwił jej to, telefonując do swego kolegi.

I tak oto pani Zgierska trafiła do gabinetu majora Bielaka. Po raz drugi tego dnia opowiadała o swej córce, o jej zamążpójściu, wyjeździe do Republiki Południowej Afryki i o tych dziwnych listach — a szczególnie o tym ostatnim, który wzbudził w niej niezrozumiałą trwogę.

Major miał swoiste podejście do tego typu informacji. Nigdy nic przerywał mówiącemu, cierpliwie wysłuchiwał wszystkich szczegółów, pytania zostawiając na zakończenie. Nigdy pochopnie nie oceniał informacji. Nawet te z pozoru błahsze, które, zdawałoby się, nie powinny interesować milicji, przyjmował z całą powagą.

Z opowiadania zdenerwowanej kobiety nie wynikało, że zdarzyło się coś, co mogłoby zainteresować organa milicji. Ot. zwyczajna, banalna historia: młoda dziewczyna poznaje cudzoziemca, pokochali się, odbył się ślub, potem wyjazd — a teraz te listy pełne tęsknoty, jakieś zmartwienia, spowodowane z pewnością rozczarowaniem i kłopotami finansowymi. Cóż, w życiu różnie bywa.

Major Bielak przyglądał się opowiadającej kobiecie.

— Jak pani córka poznała swego męża?

— zapytał, kiedy skończyła.

— W jaki sposób go poznała? — powtórzyła pytanie. Nie pamiętała dokładnie.

Jak przez mgłę przypominała sobie o jakimś pośredniku, znajomym Janki. Nie interesowała się tym wówczas. Nie miało to wtedy znaczenia.

— Może w pracy, może przez koleżanki, kolegów; może na ulicy, w kawiarni, na wczasach, na wycieczce — podsuwał cierpliwie major.

Zgierska zamyśliła się. Starła się przypomnieć sobie wszystko, co na ten temat mogła wiedzieć.

- Zaraz, zaraz, jak to było? — zastanawiała się na głos. — Tak. pamiętam: Janka przyszła wtedy do domu nieco później niż zwykle. Zapytałam ją, gdzie była. Ot, tak po prostu, z ciekawości... pan rozumie. Powiedziała mi, że była w kawiarni ze znajomym.

I wtedy przysiadł się do nich John. W ten sposób go poznała.

O znajomym, z którym córka była w kawiarni, nic bliższego powiedzieć nie umiała. Nie знаła jego imienia, nazwiska, adresu; nigdy go nie widziała.

Major Bielak bił się z myślami. Z jednej strony nie można było lekceważyć obaw tej kobiety, z drugiej jednak — nic nie usprawiedliwiłoby wszczęcia dochodzenia. Nie dawało mu jednak spokoju to zdanie w liście, pełne ironii i goryczy: „Wszystkie polskie dziewczęta, które pragną dostać się do raj, powinny przyjechać tutaj“.

Zdecydował w końcu, że należy się tą sprawą bliżej zainteresować. Nie znaczy to jednak, że konieczne jest delegowanie do tego celu kilku ludzi czy w ogóle an-gażowanie więcej środków. Przynajmniej nie teraz, nie w tej fazie. Ale może uda się pewne rzeczy wyjaśnić od razu i ustalone dane odłożyć na razie do archiwum. Już następny list od Janki mógł się okazać pomocny.

Zastanawiał się, któremu z pracowników w wydziale można tymczasem powierzyć to zadanie. Wszyscy byli zawałeni robotą. Nie mógł obciążać ludzi, którzy zajęci są teraz innymi pilnymi sprawami. Do tego zadania potrzebny był człowiek zdolny, z wyobraźnią, a jednocześnie o precyzyjnym umyśle.

Kapitan Ciszkowski! Od dwóch lat pracuje w wydziale. „Marynarz“ — jak go wszyscy tutaj nazywają. Urodzony na Wybrzeżu, związany z morzem. Po odbyciu służby wojskowej w Marynarce Wojennej zdecydował się wstąpić do MO. Ukończył

milicyjną szkołę oficerską i — mimo że pragnął pracować na terenie Trójmiasta — otrzymał przydział do Komendy Stołecz

nej. Początkowo był z tego niezadowolony, ale później przyzwyczał się i nie myślał już o przeniesieniu. Mimo braku doświadczenia umiał podejmować trafne decyzje.

Jego propozycje uzyskiwały aprobatę przełożonych. Wyróżnił się szczególnie w pewnej sprawie, którą uznano już za beznadziejną. Otrzymał przedterminowy awans.

Stopniowo stawał się jednym z filarów wydziału. Rwał się do pracy, nigdy nie szczędził czasu. Chyba z tego względu a może i przez jakieś przeoczenie — nie wykorzystał nawet urlopu w roku ubiegłym.

Jemu właśnie major Bielak zdecydował się powierzyć tę sprawę. W obecności pani Zgierskiej kapitan Ciszkowski został poproszony do pokoju majora. Stał w drzwiach na baczność.

— Siadaj. — Major wskazał mu krzesło. Ciszkowski usiadł.

— Pani Zgierska — Bielak wskazał na kobietę — przyszła do nas z dość niezwykłą sprawą.

Spojrzał przelotnie na kobietę i ciągnął dalej:

— Chodzi o jej córkę, która dwa lata temu wyszła za mąż za cudzoziemca i wyjechała za granicę, aż na drugą półkulę. Pani Zgierska podejrzewa, że za tym małżeństwem coś się kryje. Zapoznajcie się, kapitanie, ze sprawą i jak już wyrobicie sobie o tym jakiś pogląd, porozmawiamy.

— Major miał taki zwyczaj: swoim podwładnym mówił raz per „wy“, raz „ty“.

— Tak jest. obywatelu majorze! — Kapitan Ciszkowski celebrował wojskowe formy. — Chodźmy — zwrócił się do Zgierskiej i oboje opuścili gabinet..

Na drugi dzień kapitan Ciszkowski już

o godzinie ósmej rano stawił się w sekretariacie naczelnika. Majora jeszcze nie było.

Sekretarka układała na biurku wyjęte z szafy papiery.

Ktoś zajrzał przez uchylone drzwi i zapytał o szefa.

— Jeszcze nie przyszedł. — W głosie sekretarki czuło się lekkie zdziwienie: od czasu, kiedy zaczęła pracować w tym wydziale, nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby major się spóźnił. Wręcz przeciwnie, zawsze kiedy przychodziła do pracy, widziała przez uchylone drzwi szefa zagłębianego w papierach.

Zadzwonił telefon. Kapitan Ciszkowski spojrzął na koleżankę. Podniosła słuchawkę. — Niemożliwe! Kiedy to się stało? — zawołała. — Dziś w nocy zabrało go pogotowie — powtórzyła. — Dobrze, zawiadomię. Serdecznie pani współczujemy. Może byśmy mogli w czymś pomóc? — spytała jeszcze troskliwie. — Dobrze, dobrze, niech pani będzie spokojna. Załatwię to natychmiast.

Odłożyła słuchawkę i podniosła wzrok na Ciszkowskiego.

— Szef w szpitalu. W nocy dostał ataku i zabrało go pogotowie. Musi się poddać operacji. Woreczek żółciowy - wyjaśniła.

— Proszę tu chwilę poczekać, pobiegnę do komendanta i zawiadomię...

Ciszkowski został sam. Trzymał w ręku teczkę z raportem o sprawie, w związku z którą Zgierska złożyła im wczoraj wizytę. Jak życie wszystko może skomplikować! —

pomyślał. Jeszcze wczoraj, przygotowując się do referowania sprawy, prowadził w myślach rozmowę z przełożonym; Starał się znaleźć odpowiedzi na ewentualne pytania; szykował argumenty dla obrony obranego przez siebie kierunku prowadzenia dochodzenia. Wynotował sobie na kartce wszystkie argumenty przemawiające za koniecznością poważnego potraktowania obaw Zgierskiej. Może to nie były dowody, ale jakaś zawodowa intuicja

— to. co nazywa się popularnie „dobrym” nosem: — podszeptowała mu, że w tej sprawie należy niezwłocznie wiele rzeczy wyjaśnić.

Spodziewał się, że uda mu się majora przekonać. Był niemal tego pewien. Miał

tylko wątpliwości, czy Bielak zaakceptuje wszystkie jego propozycje. Postanowił jednak nie poddawać się. A co teraz? Nie pójdzie przecież do szpitala omawiać spraw służbowych. Czekać, aż major wróci? Z tym nie mógłby się pogodzić. Miał zbyt impulsywny charakter. Był zbyt niecierpliwy i nie lubił odkładać spraw, które go pochłaniały bez reszty.

Ciszkowski był kawalerem. Nie miał rodziny w Warszawie. Jak mógł. wypełniał

czas pracą. Nie musiał godzić obowiązków zawodowych z rodzinnymi. Komenda była nie tylko miejscem jego pracy, ale w pewnym sensie zastępowała mu dom. Szef, który wprowadzał go w arkana pracy milicyjnej, był dla niego czymś więcej niż tylko przełożonym: interesował się jego osobistymi sprawami; czasem coś doradził, czasem nakrzyczał. Ale nawet w tym besztaniu Ciszkowski czuł niemal nieuchwytną serdeczną nutę. A teraz ta nagła choroba wszystko pokrzyżowała.

Z rozmyślań wyrwał go powrót sekretarki. Podziękowała mu za to chwilowe zastępstwo i widząc, że stoi w dalszym ciągu niezdecydowany, poradziła:

— Jeśli ma pan coś ważnego, lo teraz do zastępcy.

Kapitan wiedział, że musi tam pójść; nie miał innego wyjścia. Nie nastrojało go to optymistycznie. Nawet stosunkowo niedługi okres pracy w milicji pozwolił Ciszkowskiemu odkryć dość istotne różnice między szefem a jego zastępcą. Zastępca był

‘o. malistą. Zawsze, na wszystkich odprawach, głosił dewizę: „Treść jest ważna, lecz nie mniej ważna jest forma“. Dużą wagę przywiązywał do sposobu sporządzania dokumentów: zawsze czepiał

się stylu, kompozycji, stawiania przecinków i układu akapitów. Do wszystkich przepisów

— nawet tych drugorzędnych, porządkowych — odnosił się z najwyższym szacunkiem i rygorystycznie ich przestrzegał. Dokumenty, które mu przedkładano, musiały być porządnie pozszywane, ponumerowane i opisane.

Być może ta właśnie różnica zadecydowała o podziale pracy między naczelnikiem a jego zastępcą. Do obowiązków lego ostatniego należało dopilnowywanie terminów, pisanie sprawozdań, opinii, zatwierdzanie urlopów — jednym słowem cała papierkowa robota spoczywała na jego barkach. Sam prowadził różnego rodzaju kar-totecki, wykazy. Jego skrupulatność była powodem licznych kpin i żartów: mówiło się, że gdyby zażądano kiedyś informacji

o liczbie łysych funkcjonariuszy MO, opracowałby taki dokument bez zmrużenia oka, podając skrupulatnie: w naszej jednostce całkowicie łysych nie ma, jest tylko jeden, który wyłysiał w pięćdziesięciu procentach. Oczywiście chodziłoby o niego, bowiem na tym punkcie był bardzo czuły.

Taki podział pracy wychodził jednostce na dobre. Treść spraw, którym bez reszty poświęcał się major Bielak, ubrana w odpowiednią formę — wystawiała wydziałowi dobre świadectwo.

Ciszkowski rad nierad zapukał do drzwi.

— No co, Ciszkowski — powitał go zastępca, podając mu rękę. — Siadajcie, porozmawiamy. Jesteście jedynym u nas człowiekiem, który nie wykorzystał urlopu za ubiegły rok, no i za ten też cały miesiąc wam się należy. Co nowego?

Ciszkowski wręczył mu raport.

Zastępca zaczął czytać. Sprawa najwidoczniej nie wzbudziła w nim większego zainteresowania.

— Przekażcie to kapitanowi Kowalskiemu i od pierwszego — na urlop. Napracowaliście się już dość. Trzeba odpocząć. Nic można dłużej zwlekać z urlopem.

— Mam prośbę — nieoczekiwanie nawet dla samego siebie powiedział

Ciszkowski.

Słucham, słucham. — Z zaciekawieniem spojrzał na podwładnego.

Ciszkowski zaczął niezdecydowanie: Wychowałem się nad morzem, cała moja rodzina pracuje na morzu, ja też służbę wojskową odbywałem w Marynarce Wojennej. Ciągnie czasami człowieka na wodę.

— Chyba nie chcecie zwalniać się z milicji i zmieniać zawodu?

— Nie, nie to miałem na myśli. — Głos Ciszkiowskiego nabrał już pewności.

— A więc o co chodzi? Słucham mówcie.

:

Zastępca z ulgą odetchnął: nie lubił, jak ktoś prosił o zwolnienie z pracy. Zdarzało się to czasami — zwłaszcza młodym kolegom — w okresie, kiedy nawał pracy i wzrost napięcia nerwowego powodował uczucie przemęczenia. Ale kiedy kryzys mijał, sami wycofywali swe podania.

- Mam dwa miesiące urlopu — mówił Ciszkowski. — Chciałbym je wykorzystać w całości.

— Formalnych przeszkód nic widzę — zgodził się zastępca.

— Ale to jeszcze nie wszystko. — Ciszkowski przeszedł do najważniejszej sprawy:

— Mówiłem, że ciągnie mnie na morze.

— Powiedzcie wreszcie, o co wam chodzi? — Zastępca był wyraźnie zaintrygowany.

— Chodzi mi o to, że chciałbym w ciągu tych dwóch miesięcy urlopu odbyć rejs na statku jako marynarz. Przygotowanie zawodowe mam; jaszcz nic zapomniałem. I robota na statku by się znalazła — wyrzucił z siebie jednym tchem Ciszkowski.

— Piszcie w tej sprawie raport. I wracajcie zdrowi i opaleni.

Ciszkowskiemu wydawało się przez chwilę, że się przesłyszał. Nie oczekiwał od formalisty takiego stanowiska. Bał się, że tamten znajdzie tysiące powodów, dla których prośba nie może być spełniona. Przypuszczał, że od razu spotka się z odmową. A tu nic z tych rzeczy. Proszę bardzo, masz, bracie, urlop i możesz płynąć. Wracaj tylko zdrow i opalony. A może nie zgodziłby się tak łatwo, gdyby znał wszystkie powody, jakie kierowały Ciszkowskim, gdy przedkładał swoją prośbę...

Minęły dwa tygodnie od operacji. Major Bielak mógł już niemal bez ograniczeń przyjmować wizyty w szpitalu. Kolejny dzień odwiedzin sprowadził mu dość pokaźną delegację współpracowników, z zastępcą na czele. Otoczono wianuszkami łóżko chorego. 'Musiał opowiadać o stanie swego zdrowia, wyjaśniać przyczyny choroby i zawiłości operacji.

Jego sekretarka, która również znajdowała się w gronie odwiedzających, może najlepiej знаła majora Bielaka. Zauważyła od razu, że szef przygląda się bacznie wszystkim wchodzącym i jest wyraźnie rozczarowany — jakby kogoś mu brakowało.

W czasie rozmowy wyczuwała, że major chce o kogoś zapytać, ale zarazem odwleka to pytanie. Nie domyślała się, o kogo chodzi. Szef nigdy nie robił wyjątków, wszystkich traktował jednakowo. A to, że nieraz więcej czasu poświęcał nie którymś pracownikom, wynikało nic z osobistych sympatii czy antypatii, ale z potrzeb służbowych.

W końcu jej ciekawość została zaspokojona. Wierząc się niecierpliwie na łóżku, chory zapytał:

— Nic nie mówicie o Tomku Ciszewskim. Co on porabia?

— Jest na urlopie, i to na dłuższym. Wziął za rok ubiegły i bieżący: w sumie dwa miesiące — wyjaśnił zastępca.

— Taki zmęczony? — zdziwił się trochę major. — No, ale należy mu się. Ma do tego prawo.

— Chciał wziąć razem oba urlopy — mówił zastępca. — Natura ciągnie wilka do lasu: pojechał na morze.

— Jak to, na morze? — Major był wyraźnie zirytowany.

— No. nie na stałe; na jeden rejs. W pracy będzie w końcu września — wyjaśnił pośpiesznie zastępca na widok marsa na czole Bielaka.

— A wiecie chociaż, gdzie popłynął? Bo ja wiem. I mogę wam powiedzieć: na rejs afrykański. Do portów Afryki południowej. I nawet powiem wam więcej: wysiądzie na ląd w Durbanie. Ale tego, jak to zrobi, nie mogę przewidzieć. Sam nie wiem. Cholera, głupstw chłopak może narobić. Ale niech no ja go dostanę w swoje ręce...

Podniecenie majora udzieliło się pozostałym. Bielak opadł na poduszki i przymknął na chwilę oczy.

Jakby na potwierdzenie jego słów, jeden z kolegów Ciszkowskiego wyciągnął z teczki kartę pocztową i powiedział:

— Szef ma rację, rejs afrykański. Wysłana tydzień temu z Konakri. Przesyła serdeczne pozdrowienia dla kolektywu.

— Mam nadzieję, że mnie w tych pozdrowieniach nie wyróżnia specjalnie — zagrzmiął cierpki głos majora.

Zastępca nadal nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Domyślał się tylko, że wyjazd Ciszkowskiego spowodowany został nie tylko umiłowaniem morza, jak mu się to przedtem wydawało.

— Czy wiecie coś o jego przygotowaniach do tego rejsu? — Major już się opanował.

Nikt nic konkretnego nie mógł powiedzieć. Niektórzy mu nawet trochę zazdrościli. Nikt jednak nie rozumiał powodów podniecenia majora.

— Komu przekazał Ciszkowski sprawę tej dziewczyny, która wyszła za mąż i wyjechała do

Durbanu? No, jak ona się nazywała? — Major nie mógł przypomnieć sobie nazwiska.

— Zgierska — powiedział kapitan Kowalski, który przejął od Ciszkowskiego sprawę.

— Właśnie, Zgierska. Czy to wam nic nie mówi? Cholerna fantazja.

— Właśnie parę dni temu — wtrącił Kowalski — była Zgierska i chciała rozmawiać z tym panem, który prosił ją, aby codziennie pisała listy do córki.

Zastępca przypomniał sobie, o czym opowiadał mu lekarz pracujący w komendzie i uznał również za stosowne poinformować o tym majora Bielaka:

— Ciszkowski przed wyjazdem na urlop

— powiedział — przeprowadził z naszym lekarzem dłuższą rozmowę na temat symulacji chorób.

— No, to jesteśmy w domu — stwierdził major.

Na salę weszła pielęgniarka ogłaszając koniec odwiedzin. Goście zaczęli zbierać się do wyjścia.

II

W szpitalu, przy łóżku majora Bielaka, bezbłędnie rozszyfrowano zamiary, cel i trasę podróży kapitana Ciszkowskiego.

Rzeczywiście Ciszkowski znajdował się na statku Polskich Linii Oceanicznych „Kamienica“, zmierzającym do portów arabskich. Od czasu agresji izraelskiej i zamknięcia Kanału Sueskiego, trasa do Dżibuti i Kuwejtu wydłużyła się znacznie. Trzeba było opłynąć całą Afrykę, nakładając tysiące mil morskich.

W jaki sposób kapitan załatwił sobie tak szybkie zamustrowanie na statek w charakterze marynarza, pozostanie to jego tajemnicą. Ciszkowski niczym nie wyróżniał się spośród pozostałych członków załogi. Znał pracę na statku i wykonywał ją chętnie.

Drugi oficer, któremu bezpośrednio podlegał, był z niego zadowolony.

Szybko zaprzyjaźnił się ze współtowarzyszami pracy. Tak się szczęśliwie złożyło, że wśród załogi Ciszkowski spotkał swego serdecznego kolegę z czasów służby wojskowej, Henia Jarmułę. Mieli więc okazję, żeby wspominać znajomych, przyjaciół, przełożonych, wiele wspólnie przeżytych chwil — i tych radosnych, i tych trudnych. Raz zadzierzgnięta w niełatwych warunkach służby przyjaźń — przetrwała.

Razem pracowali i dzielili jedną kajutę marynarską.

Na wysokości Kapsztadu, kiedy oglądali ze statku miasto, u Ciszkowskiego wystąpiły pierwsze objawy choroby. Henryk początkowo sądził, że to chwilowa niedyspozycja, bo Ciszkowski cieszył się zawsze wspaniałym zdrowiem. Zaniepokoił się jednak nie na żarty, gdy zauważył następnego dnia, że przyjaciel zaczyna tracić siły, chodzi błądliwie i przygnębiony, nie zjada posiłków. W każdej wolnej chwili Ciszkowski kładł się do łóżka i leżał nieruchomo, wpatrzony w sufit. Objawy choroby stawały się coraz bardziej widoczne. Na twarzy pojawiły się wypieki, świadczące o wysokiej temperaturze. I wówczas — mimo słabych protestów Ciszkowskiego — Henryk zdecydował się pójść do lekarza i zawiadomić go o tym.

Ciszkowskiego natychmiast zabrano do izolatki. Lekarz przystąpił do dokładnych oględzin. Nie musiał się długo trudzić. Gdy nacisnął brzuch chorego, w okolicach ślepej кишки, kapitan podskoczył, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Lekarz nie miał wątpliwości: trzeba jak najszybciej operować. Niestety, na statku było to niemożliwe.

Decyzja zapadła szybko. Konsultacja z kapitanem statku, narada z oficerami — i postanowiono jak najszybciej odstawić chorego do szpitala. Najbliższym portem na trasie był... Durban. Mimo że w planie nie był przewidziany postój, dla ratowania chorego trzeba było zboczyć z trasy.

Z reddy wezwano pomoc przez radio. Przedstawiciel firmy Dodwella, z której usług korzystały Polskie Linie Oceaniczne, przybył na pokład z miejscowym lekarzem i chorego zabrano do szpitala.

Ustalono między sobą, że jeśli Ciszkowski będzie się czuł już dobrze, polecą samolotem do Dar es-Salaam i tam poczeka na pierwszy polski statek, którym wróci do kraju.

„Kamienica“ popłynęła dalej swoim kursem.

Ciszkowskiego przewieziono pośpiesznie karetką pogotowia do szpitala.

Wprawdzie diagnoza postawiona przez lekarza na statku była jednoznaczna, dla formalności przeprowadzono dodatkowe badania. I jakież było zdziwienie lekarzy, gdy przy ponownym badaniu nie stwierdzono objawów zapalenia wyrostka robaczkowego. Badania laboratoryjne również wykluczyły to schorzenie. Wysoka gorączka utrzymywała się jednak nadal. Postanowiono zostawić chorego w szpitalu na obserwacji.

Po kilku dniach temperatura spadła; pacjent był zdrow. Czuł się na tyle dobrze, że przedstawiciel „Dodwella“ mógł go odebrać ze szpitala.

W ten sposób kapitan Ciszkowski znalazł się w hotelu, gdzie miał oczekiwać na odlot do Dar es-Salaam. Stamtąd miał wrócić do kraju pierwszym polskim statkiem, jaki tam zawinie.

Do tej pory wszystko przebiegało pomyślnie, ściśle według planu. Kapitan, zadowolony, rzucił się na hotelowe łóżko. Nie leżał jednak długo. Jeszcze tego samego dnia wybrał się na spacer po mieście.

Przybrawszy minę znudzonego marynarza, który dla zabicia czasu włóczy się bez celu, oglądał wystawy, wchodził do sklepów, robił zdjęcia. Świadomie nie zbliżał się na razie do tych rejonów miasta, gdzie planował zaaranżować spotkanie z Janiną Zgierską.

Nie był jeszcze zdecydowany, który z przygotowanych sposobów wj'korzysta dla nawiązania tego kontaktu.

W czasie tej popołudniowej przechadzki przyłapywał się co chwila na tym, że niemal odruchowo konfrontuje wygląd spotykanych na ulicy kobiet z rysopisem Janki. Rysopis młodej Zgierskiej pamiętał doskonale. Miał utrwalone w pamięci wszystkie szczegóły.

Zdawał sobie sprawę, że przypadkowe spotkanie w tak dużym mieście jest prawie niemożliwe i że nawet gdyby któraś z kobiet przypominała wyglądem Jankę — to i tak nie może sobie pozwolić na nawiązanie z nią rozmowy. Mógłby to być niewypał, a on musi mieć pewność, absolutną pewność, że rozmawia z właściwą osobą.

Jednak na widok wysokiej blondynki o ciemnych oczach i ciemnych brwiach, która wychodziła ze sklepu, przyspieszył kroku. podążając w ślad za nią. A ona, jakby się bardzo spieszyła, coraz prędzej przebiegała jezdnie, wyprzedzała idących po chodnikach ludzi, raz po raz znikając mu z oczu wśród przechodniów.

Ciszkowski wyluskiwał ją wzrokiem z ulicznego tłumu i podążał za nią uparcie dalej. W końcu, pomyślał, musi gdzieś się zatrzymać. Czy to jednak ona? — zadał

sobie w duchu pytanie. Gdyby się pomylił, cała ta bieganina po ulicach nie miałaby żadnego sensu. Jednak nie zrezygnował. Kluczył śladem dziewczyny po zatłoczonych o tej porze ulicach.

Naraz dziewczyna znikła w drzwiach dużego, ekskluzywnego sklepu z damską konfekcją. Manekiny na olbrzymich witrynach prezentowały najnowsze modele damskiej mody.

Ciszkowski zerknął przelotnie na wystawę, ale ku swemu zdziwieniu nie dostrzegł wewnątrz dziewczyny. Musiała przejść do drugiej części sklepu, przeznaczonej dla personelu. Nie pozostało mu nic innego, jak zanotować w pamięci adres i ruszyć swoją drogą.

Zmęczony wędrówką, wrócił do hotelu. Nieoczekiwanie spotkał w hallu Armanda Dilostę, agenta Polskich Linii Oceanicznych, swojego aktualnego opiekuna.

Pełen energii Hindus lubił towarzystwo polskich marynarzy, wyraźnie lgnął do nich. Teraz uśmiechnął się i żywo gesty

kulując rękami, niemal chwycił w ramiona Ciszkowskiego.

Kapitana ucieszyła propozycja wyjazdu za miasto, na farmę do osiadłego tu od lat Polaka, Piotra Dębiny. Mogło mu to ułatwić bliższe poznanie panujących w tym kraju stosunków, a może i natrafienie na ślad tajemnicy, która stanowiła ukryty cel jego podróży.

Wkrótce znaleźli się poza miastem. Dobry samochód Armanda, prowadzony sprawną ręką właściciela, mknął asfaltową szosą. Na dwudziestym kilometrze skręcili w boczną, polną drogę. Wjechali w afrykański busz.

Tu i ówdzie widać było niezbyt oddalone chaty murzyńskie, których ściany, ulepione z gliny,

miały zamiast okien tylko niewielki otwór wejściowy, zasłonięty kawałkiem zniszczonej, podartej tkaniny. Lepianki te przykryte były liśćmi palmo-wymi lub trawą, zastępującymi dach i chroniącymi przed upałem i deszczem.

Przed chatami paliły się ogniska. Wokół kręcili się Murzyni, przygotowując sobie wieczorny posiłek. Z wiszących nad ogniem i garnków wydobywała się para. Wokół rosła wysoka trawa, a nieco dalej, wśród karłowatych ni to drzew, ni to krzaków strzelały w górę wysokie pnie palm, ozdobionych na wierzchołku koroną gęstych liści.

Uprzytomniło to Ciszkowskiemu, jak daleko jest od kraju, od swojskiego krajobra-zu. Dopiero tu — nie w mieście, ale na otwartej przestrzeni, wśród tropikalnej roślinności — uświadomił sobie, że znalazł się w innym, dotychczas nie znanym mu świecie.

Polna droga, biegnąca po płaskim terenie, zaczęła teraz gwałtownie opadać w dół. I nagle — jakby się urwała. Wjechali na wąski mostek, wiodący przez małą rzeczkę. Ciszkowski miał wrażenie, że samochód zawisł w powietrzu. Z bocznego okna nie mógł dostrzec mostu, po którym jechali, widział tylko płynącą w dole wodę.

Armando wrzucił pierwszy bieg i całą mocą silnika zaczęli się wspinać na strome wzniesienie. Naraz oczom Ciszkowskiego ukazał się polski szlachecki dworek. Omal nie krzyknął ze zdziwienia. Tak właśnie wyobrażał sobie dworek z „Pana Tadeusza“. Jeszcze nie ochłonał z wrażenia na ten nieoczeki-wany widok — nie przypuszczał, że o tysiące kilometrów od kraju ujrzy tak swojski obraz — a już otoczył ich stado psów. Były to owczarki, duże i na pół dzikie.

Ciszkowski przestał się ich obawiać, gdy zamiast agresywności, wściekłego ujadania napotkał tylko zaciekawione, badawcze spojrzenia zwierząt. Cała rodzina z licznym potomstwem obwąchiwała samochód, merdając ogonami. I mimo że nie przejawiały wrogich zamiarów, destanie się w środek tej sfory mogło budzić niejakie obawy.

Później, już w czasie kolacji, Dębina żar- tobliwie wyjaśnił, że jego psy zawsze poznają Polaka i nigdy nie zrobią mu krzywdy.

Na ganek wyszedł gospodarz z latarką w ręku. Armando przedstawił kapitana.

Dębina podał rękę Ciszkowskiemu i powiedział tylko:

— Proszę, wejdźcie do środka.

Dębina nie należał do ludzi rozmownych. Ciszkowski pomyślał, że tu, na tym odludziu, musiał przyzwyczać się do samotności. Surowe życie uczyniło z niego człowieka twardego, człowieka, który dawno wyzbył się salonowej grzeczności i łatwości okazywania swych uczuć.

Usiedli w olbrzymiej izbie, pełnej trofeów myśliwskich, i służący podał napoje.

Rozmowa z początku była trudna, wymuszona. Szukali tematu, który by im obu odpowiadał. Armando siedział w milczeniu. Nie znał polskiego języka — jeśli nie liczyć kilku słów, które rzadko ogłaszane są drukiem.

Dębina ożywił się wyraźnie, gdy rozmowa zeszła na temat Polski. Tylko że on widział ją wciąż taką, jaka była przed wojną. Jego wiedza o kraju kończyła się na wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Później była wojenna tułaczka i życie tutaj, w tym oddalonym od Polski zakątku. Teraz docierały do niego tylko sporadyczne informacje. Listowne kontakty z rodziną utrzymywał jedynie od święta.

Natomiast okres przedwojenny pamiętał doskonale. Ciszkowski — sam młody — niewiele mógł o tamtych czasach powiedzieć.

Wiadomości z podręczników, książek, paru filmów, opowiadań rodziców i znajomych nie mogły zastąpić własnych przeżyć. Nie miał jednak wyboru. Rozmawiał więc o Polsce okresu

przedwojennego. We wspomnieniach Dębina ożywały nazwiska sławnych wówczas aktorów, piosenkarzy; tytuły filmów.

— Zna pan Aleksandrów Kujawski? — niespodziewanie zapytał Dębina.

— Nie, nie byłem tam nigdy — szczerze odpowiedział Ciszkowski.

— Szkoda. — Dębina czuł się zawiedziony. — To piękne miasteczko. Ukończyłem tam szkołę rolniczą. — Powiedział to lak, jakby nie mógł zrozumieć, że można nie znać Aleksandrowa.

Ciszkowski starał się zmienić temat:

— Pan musi być twardym człowiekiem, panie Dębina — skierował rozmowę na inne tory.

— Po czym pan tak sądzi? — Dębina uśmiechnął się gorzko.

— No, tak daleko od kraju, tak długo; samotny, bez rodziny... to nie jest łatwe życie.

— A gdzie jest łatwe? — odparł sentencjonalnie farmer.

— Jak człowiek ma znajomych, przyjaciół, wie, że jesi wśród życzliwych mu ludzi.

Czy liczna jest tu Polonia? — spytał.

— A jest, jest, niemała. Mój drogi, gdzie Polaków nie ma. — Dębina patrzył na Ciszkowskiego.

— No cóż, emigracja, wojna... Wiele ludzi opuściło kraj. — Ciszkowski rozglądał się po mieszkaniu, patrząc na rozwieszane na ścianach łąby bawołów i an'y- lop.

— Co na to poradzić — westchnął Dębina.

— Ale czy tylko z tamtego okresu są tu Polacy? Czy nie ma takich, którzy przyjechali teraz?

Ciszkowski prawie gwałtem wstrzymał się od dalszych pytań. To profesjonalne przyzwyczajenie stwarzało pewną sztuczność, nawet w gronie rodzinnym. Teraz szczególnie chciał tego uniknąć. Ale Dębina nie zwrócił na to uwagi.

— Nie słyszałem, by ktoś z Polaków teraz tu przyjechał.

— Chyba że jakaś Polka wyszła za mąż za człowieka stąd. W kraju niektóre dziewczyny czekają na takie oferty — mówił Ciszkowski ze śmiechem.

— Ja już jestem za stary, nie reflektuję! — Intencja Ciszkowskiego spaliła na panewce.

— A może ktoś stąd ożenił się z Polką?

— Ciszkowski nie dawał za wygraną.

— To niemożliwe, wiedziałbym coś o tym. — Dębina mówił z przekonaniem.

Kapitan nie miał powodów mu nie wierzyć.

Podano kolację. Na stole pojawiły się tradycyjne polskie potrawy. Nie tylko sam dom i jego urządzenie przypominały Polskę. Czuło się, że pieczołowicie pielęgnowane są tu polskie tradycje i zwyczaje. Nawet paru tutejszych robotników', zatrudnionych już od dłuższego czasu na farmie, mówiło niezłe po polsku. Na stole zjawiała się też butelka wyborowej, przezornie przyniesiona przez Ciszkowskiego.

Pod koniec kolacji, po wypiciu alkoholu, nastrój nieco zelżał. A że przy stole znajdowali się sami mężczyźni, Ciszkowski mógł sobie pozwolić na sprowadzenie rozmowy na nieco frywolniejsze tematy. Rozpytując gospodarza o możliwości wesołego spędzenia czasu, chciał otrzymać wiadomości, które mogłyby stanowić cenny punkt zaczepienia.

Wiedział, że musi zgromadzić jak najwięcej informacji, aby przyjechać do Warszawy z materiałem, który pozwoliłby na bardziej zdecydowane działanie. To, co dotychczas w tej sprawie robiono, nic mogło go zadowolić. Gdzieś, na dnie świadomości, już od początku, od momentu przyjęcia sprawy, zrodziło się podejrzenie, że intuicja Zgierskiej nie zawiodła. Wiedziony tą myślą zdecydował się na tę podróż, poświęcając na nią cały swój urlop.

Był już późny wieczór, kiedy Ciszkowski i Armando zegnali się z Dębina. Gospodarz ściskając rękę Ciszkowskiemu powiedział jakby na pół do siebie:

— Chyba trzeba będzie wrócić do kraju... Ale jeszcze nie teraz.

— No, to z pewnością się spotkamy. Będzie pan wówczas moim gościem.

Ciszkowski serdecznie pożegnał się z Dębina. Żał mu było tego człowieka: tyle lat spędził na odludziu. Wprawdzie do miasta nie było daleko, ale to było obce miasto, tak jak i obcy był cały ten kraj. Obcy — dla człowieka, który żył z dala od ojczyzny.

Nazajutrz rano Ciszkowski ponownie wyszedł na miasto. Tym razem pojechał na pocztę. Nie znał adresu Janki. Od Zgierskiej otrzymał tylko numer skrytki pocztowej.

na który wysyłała listy do córki. W czasie wczorajszej rozmowy z Dębina dowiedział się, gdzie należy szukać tej poczty. Chciał być tam jak najwcześniej: nie wiedział, o której podejmowane są listy. Miał jednak nadzieję, że oczekiwanie na młodą Zgierską, teraz panią Railed, nie zajmie mu więcej niż dwa dni.

Wszedł na pocztę. W bocznych, dużych pomieszczeniach mieściły się ponumerowane skrzynki. Dostrzegł numer, który go interesował: 27-48. Przez okrągłe dziurki w skrzynce widać było leżący list. Po charakterystycznej kopercie poznał, że to lotniczy z Polski.

Rozejrzał się dokoła. Kilka osób otwierało swoje skrytki. Chwilę zastanawiał się.

Chciał wybrać jak najlepszy punkt obserwacyjny. Najprościej byłoby pozostać tutaj i czekać. Wprawdzie znał na pamięć rysopis Janki, ale zdawał sobie sprawę, że współczesna moda (szczególnie możliwość zmiany koloru włosów), makijaż, sztuczne rzęsy, no i prawie dwuletni okres mogły zmienić dziewczynę nie do poznania.

Najbardziej obawiał się, że pani Railed przyjdzie wr towarzystwie. To byłoby fatalne. W jego planie najistotniejsze było to, aby nikt z jej otoczenia nic dowiedział się o spotkaniu. Przewidywał również, że po list może przyjść ktoś inny. I na taką ewentualność był przygotowany. Ale miał wątpliwości, czy wystarczyłoby mu wówczas czasu. Wymagałoby to wielu zabiegów, a rezultatów nie byłyby taki pewny.

Wyszedł z budynku pocztowego. Usiadł na ławce na skwerku, naprzeciwko drzwi poczty. Duże, oszklone, teraz otwarte — stwarzały dobre warunki do obserwacji.

Przyglądał się wszystkim wchodzącym i opuszczającym budynek. Całe szczęście, że ławka ustawiona była w cieniu, pod drzewem. Długo na tym słońcu nie mógłby wytrzymać. Rozłożyste konary wystarczająco chroniły go przed wzmagającym się żarem słonecznym. Ciemne okulary osłaniały mu oczy, utkwione wciąż w jeden punkt

— drzwi urzędu pocztowego.

Ruch na poczcie stawał się coraz większy. Interesantów przybywało. Przede wszystkim byli to posłańcy, w charakterystycznych liberjach. Przywozili i odbierali przesyłki dla swoich biur, instytucji i firm.

Pocztowy zegar wskazywał już dziewiątą, a kapitan tkwił wciąż jeszcze na ławce.

Do dwunastej, kiedy zamykano urzędy na przerwę obiadową, pozostało dużo czasu.

Nie mógł opuścić stanowiska. Był uparty: obserwował nadal. Czy przyjdzie?

Zbliżała się dwunasta. Pozostało jeszcze około dziesięciu minut do zamknięcia poczty. Ciszkowski podniósł się i wszedł do budynku, aby zobaczyć, czy list jest jeszcze w skrzynce. Zatrzymał się przed znanym numerem. Listu nie było! A więc ktoś go już zabrał. Żałował teraz, że nie czekał przy skrzynce. Był zły na siebie. Może Zgierska była, a on jej nie zauważył. Ale to przecież niemożliwe. Każdą młodą kobietę świdrował wzrokiem i gdyby dostrzegł choć cień podobieństwa, natychmiast poderwałby się z ławki i poszedł za nią sprawdzić, czy weźmie list przeznaczony dla Janki. A więc musiał go zabrać ktoś inny. Być może ktoś, kto kontroluje jej korespondencję. Dobrze, że nie napisał do niej kartki z propozycją spotkania. Jedyne tę korzyść mógł zanotować na swe

konto, bo stracił całe pi'zedpołudnie.

Zrezygowany, ruszył powoli w kierunku wyjścia i w drzwiach omal nie zderzył się z młodą kobietą. Chyba ona... Tak, ona na pewno! Wzrost, włosy, kolor oczu, twarz — wszystko pasuje jak ulał. Chyba ta sama, którą widział wczoraj po południu.

Wyminęła go i pobiegła w kierunku, skąd on wracał. Poszedł za nią. Zauważył, że jeszcze w biegu wyciąga kluczyk z to-rebki. I widział, jak wkłada go do skrytki oznaczonej numerem 27-48. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości.

Podszedł do niej szybko i, podczas gdy ona zaglądała do pustej skrzynki, powiedział półgłosem: — Przywiozłem pani pozdrowienia od matki z Warszawy.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, - co do niej mówi. Była kompletnie zaskoczona.

Ciszkowski musiał odczekać dłuższą chwilę, aby mogła ochłonąć z wrażenia, jakie na niej wywarło to nieoczekiwane spotkanie. Gdy zaskoczenie minęło, w oczach dziewczyny wyczytał obawę, a może nawet strach. Tego się nic spodziewał.

— Jak to „przywozi mi pan pozdrowienia od matki?“ Po pierwsze, nie znamy się.

Po drugie, skąd pan wie, że ja mam matkę w Warszawie i że, w ogóle, jestem Polką?

— Mówiła trochę chaotycznie. W jej głosie czuło się zdenerwowanie.

— Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Ciszkowski, jestem marynarzem. Pływam na polskich statkach — mówił kapitan, pojednawczo wyciągając do niej rękę.

Podążyła mu swoją z pewnym ociąganiem. W duchu przyznał, że zachowała się dość przytomnie.

Musieli wyjść z budynku pocztowego: zamykano urząd. Zaczynała się przerwa obiadowa. Podprowadził ją do ławki na skwerku. Usiedli. Ciszkowski wiedział, że nie zdobył jeszcze jej zaufania. Czegoś się obawiała. Nie ufała mu.

Sięgnął ręką do kieszeni bluzy marynarskiej i wyciągnął jakiś przedmiot owinięty w bibułę. Podał jej, mówiąc:

— To jest broszka pani matki. Przysyła ją pani w prezencie.

Trzymała broszkę na dłoni. Patrzyła na nią wzrokiem, który przypominał pieszczotę, na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

— Jak sio pan tutaj znalazł? — Pytanie to zabrzmiało łagodnie i serdecznie.

— Jak się tu znalazłem? — wpadł w jej ton Ciszkowski. — Czy to ważne? Nie jest to zresztą tajemnicą: jestem marynarzem.

— Rzeczywiście, po co o to pana pytam.

Mówiła przeproszającym tonem.

Zamilkli. Jak gdyby wstydząc się szorstkiego potraktowania go na wstępie, dziewczyna zmieniła temat:

— Zbliży się pora lunchu. Może razem coś zjemy — zaproponowała.

Ciszkowski przyjął zaproszenie. Po chwili znaleźli się w przytulnej restauracji z klimatyzacją. Chłodne wnętrze lokalu przyniosło kapitanowi, nie przyzwyczajonemu do tropikalnego klimatu, ulgę. Różnica temperatur wynosiła około dwudziestu stopni. Ciszkowski poczuł, że osłabienie i pewne rozleniwienie, jakie odczuwał na ulicy, zaczyna teraz ustępować. Był już znów w pełni sprawny: fizycznie i psychicznie.

Kiedy usiedli, Janka poprosiła, żeby opowiedział jej o matce. Zasluchana, nie przerywała. Przyglądała się niespodziewanemu i dziwnemu gościowi, wchłaniała każde jego słowo.

Ciszkowski opowiadał jej o Polsce, o Warszawie; mówił jej o matce. Jankę interesował każdy szczegół. Widać było, że uczucie, jakie żywiła dla matki, nie tylko nie wygasło w czasie tej długiej

rozłąki, ale jeszcze się spotęgowalo.

— Matka jest bardzo o panią niespokojna. Ostatnie listy, jakie od pani otrzymała, niemal ją załamały. Jest zrozpaczona. Błagała mnie, żebym się z panią skontaktował.

— Ciszkowski przyglądał się uważnie twarzy dziewczyny.

I znów, jak przed chwilą na poczcie, zauważył w jej oczach lęk.

— Proszę jej powiedzieć, że czuję się tu dobrze: pracuję, zarabiam; niczego mi nie brakuje. Niech się mama nie martwi. To nie ma sensu. Wszystko będzie dobrze.

Proszę mi przyrzec, że powtórzy jej pan to. co mówię.

— Wszystko będzie dobrze? A nie jest?

Wszystko jest dobrze — poprawiła się. — Tylko niech się nie martwi. Wpadnie jeszcze w jakąś chorobę. Ona tak się zawsze o mnie troszczyła. Musi mi pan dać słowo, że powie pan matce to. o co pana proszę.

— Nic mam powodów mówić inaczej.

Tylko co ma znaczyć to „wszystko będzie dobrze“ i dlaczego chce pani ode mnie za-pewnienia. że opowiem pani matce o idealnym i pomyślnym ułożeniu się pani spraw

— skoro tak przecież jest. Chyba nie ma pani powodu przypuszczać, że mógłbym kłamać.

— Tak, tak, rzeczywiście.

— Widzi pani. Aha, bo bym zapomniał. Matka bardzo się interesuje, gdzie pani pracuje? Nic o tym pani nie pisze.

— Czy to takie ważne? Mój Boże! — Chwilę się zastanawiała. — A po co to matce potrzebne? Czy to nie wszystko jedno, gdzie pracuję?

— A jednak pani matka prosiła mnie, żebym o to zapytał.

— Dobrze, skoro chce wiedzieć... Jestem modelką.

— Nie widzę powodu robienia z tego tajemnicy. — Ciszkowski uśmiechnął się.

— Taka jestem przejęta tym nagłym spotkaniem z panem! Proszę więc powiedzieć matce — mówiła siląc się na spokój i swobodę — że żyję, jestem zdrowa, jest mi dobrze, pracuję, dużo zarabiam: za dwa, może trzy lata wrócę do... - urwała gwałtownie, zasłaniając usta ręką, jakby żałowała, że powiedziała za dużo.

Ciszkowski udał, że tego nie zauważył.

— Nic pani nie mówi o mężu. Wie pani, ciekawość matki... — Rozłożył ręce, jakby chciał przeprosić za natarczywość.

— Mój mąż... — nie była zdecydowana.

— Nie ma go... Wyjechał — dodała pośpiesznie.

Ciszkowski uznał, że należy przystąpić do zasadniczej części rozmowy. Właśnie od tego, co teraz usłyszy, zależy wiele. Przede wszystkim, czy to, co przedsięwziął, miało jakiś sens. Wyczuwał, że Janka coś ukrywa przed nim. Nie było to trudne do odczytania. Ale co się za tym kryło? A jeśli to tylko jakaś banalna historia zdrady małżeńskiej, która w świadomości młodej dziewczyny urosła do rozmiarów ka-taklizmu życiowego? Wiedział, że wówczas na całe lata w wydziale, w komendzie — a może i poza nią — historia ta stanie się przedmiotem kpin i żartów jego kolegów.

Nazwą go z pewnością imieniem jakiegoś genialnego detektywa.

Po raz pierwszy zaczął powątpiewać, czy postąpił słusznie, wyruszając w tę podróż. Pomyślał, że w jego pracy potrzebna jest duża rozwaga, chłodna ocena faktów

—, a z wyciąganiem wniosków należy zawsze poczekać do odpowiedniej chwili.

Siedział naprzeciwko dziewczyny i patrzył na nią z uwagą. Widział lęk w jej oczach, jakąś rezygnację i smutek na twarzy. Nie mógł dłużej zwlekać. Poczekał, aż kelner zbierze talerze, i

powiedział:

— Dotrzymam słowa, powiem pani Zgierskiej, że zastałem panią całą i zdrową, że pani pracuje i jest zadowolona, że powodzi się pani dobrze. Powiem, że listy, które pani pisała ostatnio, były wynikiem chwilowej depresji psychicznej, tęsknoty za najbliższymi i za krajem. Wszystko to powiem, przyrzekam uroczyście. — Żartobliwie podniósł do góry dwa palce. — Ale pod jednym warunkiem: że chociaż ja będę znał

całą prawdę. Jestem pewien i mam na to dowody, że ma pani jakąś tajemnicę, o której nie chce pani mówić.

— Nie wierzy mi pan? — powiedziała to bez przekonania.

— Nie wierzę. Jestem natomiast pewien, że znajduje się pani w poważnych kłopotach. I jeśli pani chce, żeby ktoś pani w kraju pomógł, to muszę znać całą prawdę.

— Kto mi może pomóc? — westchnęła.

— A więc potrzebuje pani pomocy?

— Ale to nie jest takie proste. — Wciąż wahała się, czy ma wyznać prawdę.

— Mogę w kraju zawiadomić odpowiednie władze. Napisać o tym, żeby się sprawą zajęli. Oczywiście, możemy to zrobić w tajemnicy przed matką.

— Nie wiem, czy coś by z tego wyszło. Wpadłam w taką matnię, że niełatwo jest się z niej wydostać. Właściwie to prawie niemożliwe...

— Widzi pani, miałem rację. Wiem już dostatecznie dużo. Jeśli powie mi pani prawdę, postaram się pani pomóc.

Czuł, że pozyskał jej zaufanie.

- Nie mam dużo czasu — mówiła spoglądając na zegarek. — Opowiem tylko to, co najważniejsze. I jeśli ktoś będzie mógł mi w tym pomóc, będę bardzo wdzięczna...

Ciszkowski pogratulował sobie w duchu.

Zostałam oszukana w sposób perfidny, podstępny i okrutny. Wykorzystawszy moją naiwność, szczerłość, a może nawet i uczucie, wywieziono mnie tutaj. Ale o tym wiem dopiero dzisiaj. Gdy wyjeżdżałam z Warszawy jako młoda mężatka, pani Rafled, do głowy nie przyszłoby mi że może mnie coś takiego spotkać.

;

Po przyjeździe do Durbanu nic nie zapowiadało nieszczęścia; wręcz przeciwnie, wszystko układało się jak najlepiej. Poznałam kilka osób; wszystko dla mnie było nowe, ciekawe. Mąż był dobry. Troskliwie się mną opiekował. Ta sielanka trwała jednak krótko. Pierwsze rzekome kłopoty finansowe męża w prowadzonej przez niego firmie odczułam w sposób dotkliwy. Musieliśmy sprzedać naszą willę i przenieść się do dwóch wynajętych małych pokojków w mieście. A później jak lawina posypały się nowe zmartwienia. Mąż tłumaczył mi, że grozi mu więzienie za długi. I trzeba było robić wszystko, aby ratować sytuację.

Teraz widzę, w jak wyrafinowany sposób byłam, krok po kroku, wciągana w przygotowaną pułapkę. — Kiedy to mówiła, twarz jej pobladła. — Podpisywałam weksle, jakieś czeki, zobowiązania... sama nie wiem już co, a wszystko po to, by ratować męża, który mnie o to prosił. Wierzyłam mu bez zastrzeżeń, robiłam to, co mi kazał, mając nadzieję, że wszystko dobrze się kiedyś skończy.

Niestety, rozczarowanie nastąpiło szybciej, niż się spodziewałam. Mąż — jak mi oświadczone w tajemnicy — musiał uciekać przed wierzycielami. Pozostałam sama, i to w rękach szakali i szantażystów. Proszę nie myśleć, że to męty ze świata przestępczego, nic podobnego. Główny mój wierzyciel jest właścicielem kilku sklepów*.

Poważny, szanowany, niemal mój dobroczyńca.

Mówiła z ironią, na jej twarzy zjawił się gorzki uśmiech.

— Miałam do wyboru dwie możliwości: albo iść do więzienia za długi, albo poddać się woli tych, w których rękach się znalazłam. O wyjeździe do kraju nie mogło być mowy. Raz, że nie miałam pieniędzy,

a poza tym — nie puściliby mnie... Już by znaleźli jakiś sposób.

Po pewnym czasie zaczęły przychodzić listy od męża. Krótkie, jakieś takie... nie-cierpliwe. Jeszcze wtedy wierzyłam, że to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Mąż radził mi w jednym liście, żebym zwróciła się o pomoc właśnie do mężczyzny, które-mu winna jestem pieniądze. To mnie trochę zaskoczyło. Ale nie miałam wyjścia: posłuchałam rady człowieka, który był moim mężem. Wierzyciel przyjął mnie zimno.

W rozmowie często dawał mi do zrozumienia, że nikt nie może sobie pozwolić na wyrzucenie przez okno takiej sumy, że trzeba się zastanowić nad spłaceniem zaciągniętych długów.

Byłam zrozpaczona. Już miałam opuścić jego mieszkanie, gdy on niespodziewanie zaofiarował mi swoje pośrednictwo w znalezieniu pracy. „Jest pani ładna, zgrabna, młoda; może pani zostać modelką“...

Zostałam modelką. Praca przy prezentowaniu różnych kolekcji dla bogatych pań przynosiła mi niezły zarobek, z którego jednak znaczną część odnosiłam wierzycielowi. Za resztę wegetowałam wśród obcych mi ludzi, z dala od domu, bez znajomych, przyjaciół. Ale i to też nie trwało długo. Mój wierzyciel zaczął się domagać zwrotu całej sumy. W końcu wyznaczył mi termin i zagroził, że będzie zmuszony wystąpić na drogę sądową...

Dziewczyna zamilkła, jakby chciała zaczerpnąć tchu.

— I wówczas moja szefowa zaproponowała mi coś, co stwarzało realną perspektywę spłaty długu i wydostania się z tej matni. Ale cena, jaką miałam za to zapłacić...

— urwała w połowie zdania.

Ciszkowski spojrział na nią ze współczuciem. Zauważyła to.

— Zostałam prostytutką. Tak, zostałam prostytutką — powiedziała z naciskiem.

— I nie jest żadną dla mnie pociechą, że-uprawiam tę profesję w najsubtelniejszym wydaniu.

— Nic mogę tylko zrozumieć dlaczego - Ciszkowski zastanawiał się, jak sformułować to pytanie — dlaczego — powtórzył — z tak daleka, takim kosztem, podstępem sprowadza się dziewczynę. Czy tutaj nie

ma chętnych do uprawiania tego zawodu?

— Dla mnie też to w pierwszej chwili było niejasne. Ale później wszystko zrozumiałam. Jest aż nadto powodów, dla których tak postąpili. Musi pan wiedzieć, że tam, gdzie pracuję... pracuję — ironicznie wykrzywiła usta — a więc ten dom mody przylega do drugiego budynku, w którym mieści się „Dur'oan Club“. Klientela to

;

bardzo bogaci ludzie. Na ostatnim piętrze klubu, który ma połączenie z domem mody, są pomieszczenia o specjalnym przeznaczeniu. Właśnie tam odbywa się... —

znowu urwała. — Panowie ci płacą dużo i duże mają wymagania. Szefowa to nieraz podkreśla. Uroda i młodość — to jeszcze nie wszystko. Tam nie ma miejsca dla dziewczyny, o której już na pierwszy rzut oka można powiedzieć, że to prostytutka.

Nabycie tych cech powoduje wycofanie z pracy. Mają więc wszystko: zapewnione posłuszeństwo, dyskrecję i, to chyba najważniejsze, zarabiają na tym kupę pieniędzy.

Interes się opłaca i to sownie.

Aż sama się sobie dziwię — podniosła na niego oczy — że z taką szczerością potrafiłam panu opowiedzieć to wszystko. Nic jest dla mnie również pocieszeniem, że w podobnej sytuacji znalazła się, w zupełnie identyczny sposób sprowadzona wcześniej, dziewczyna z Katowic. Nazywa się Teresa Marek.

— Czyżby pani mąż i w sprowadzeniu tej dziewczyny maczał palce?

— Nie tylko maczał palce, ale się z nią ożenił i, lak samo jak mnie, sprowadził tutaj — tylko że pół roku wcześniej i pod innym nazwiskiem.

— No, proszę, to coraz ciekawsze — powiedział Ciszkowski.

— Ciekawsze? Chyba smutniejsze.

— Przepraszam, źle się wyraziłem — przytaknął skruszony.

— Oni nie wiedzą, że ja znam tę dziewczynę. Przypadek sprawił, żeśmy się spotkały.

— ?

— Do domu mody nic jeżdżę sama i nie każdego dnia. Przysyłają po mnie specjalny samochód, który mnie przywozi i odwozi z powrotem. Tak to urządzili, że kie dy ona przychodzi, ja w tym dniu jestem wolna, i odwrotnie. Przypadkowo w samo-chodzie, którym jeżdżę, znalazłam wciśnięty między oparcie a siedzenie list z Polski.

właśnie do Teresy, i po wielu zabiegach nawiązałam z nią kontakt.

— Nie próbowałyście zgłosić się do władz?

— To nic takie proste. Może mieliby kłopoty. Ale i my miałybyśmy nie mniejsze.

Ordynarny szantaż zapewnia naszą dyskrecję.

— Wszystko jest teraz dla mnie jasne — powiedział Ciszkowski — ale niech mi pani powie, czy zauważyła pani, że pani „mąż“ ma w Polsce współników?

— Zastanawialiśmy się nad tym obie z Teresą i doszliśmy do wniosku, że tak. Ma w kraju człowieka, który ułatwia mu nawiązywanie kontaktu. Występuje on pod różnymi nazwiskami, ale w moim i Teresy przypadku używał tego samego imienia: Mariusz. I co charakterystyczne, nosi takie przydymione, prawie ciemne okulary.

Wysoki, przystojny, ciemne włosy, szczupła twarz. Koloru oczu nic jesteśmy w stanie określić, zawsze zasłonięte były okularami.

— A jak pani poznała tego Mariusza?

— Jak go poznałam? — zastanawiała się Janka. — To banalna historia. Jeśli chce pan wiedzieć... Tak, przypominam sobie dokładnie.

— To jest bardzo ważne — wtrącił Ciszkowski.

Janka spojrzała na niego, jakby nagle zaczęła rozumieć, że nie tylko marynarskie losy sprowadziły tego człowieka do niej do Durbanu. Nie chciała jednak o to pytać.

Ważne, że ofiarował się jej pomóc.

— Weszłam kiedyś do księgarni na Marszałkowskiej. Po chwili wszedł także on.

Stał w kolejce za mną. Dzisiaj nie przypominam sobie, o jaką książkę pytałam, ale pamiętam, że to był ostatni egzemplarz na składzie. On również chciał ją kupić.

Niestety, już nie było. Wówczas zwrócił się do mnie z prośbą, czy po przeczytaniu nie mogłabym mu jej pożyczyć. Zgodziłam się. I tak się zaczęło.

Już na początku zauważyłam, że absolutnie nie dążył do ułożenia znajomości na płaszczyźnie damsko-męskiej. Wystarczało mu wspólne zainteresowanie literaturą, filmom. Podczas naszych spotkań wędrowaliśmy po księgarniach polując na nowości wydawnicze, chodziliśmy do kina. Tylko we dwoje. Nie wprowadzał mnie w krąg swoich znajomych, nie chciał również poznać moich koleżanek. Wówczas nie dziwiło mnie to. Wreszcie któregoś dnia powiedział, że ma znajomego

obcokrajowca, który chce ożenić się z Polką. Kiedyś przyszli na spotkanie razem. Ot, i cała historia.

— A jak poznała Teresa swego kandydata na męża?

— Szczegółów nie znam, ale jesteśmy pewne, że przez tego samego człowieka.

— Zdaje sobie pani z tego sprawę, że gdyby odkryto tutaj, że pani i Teresa się znacie, groziłoby to wam zemstą, a szanse udzielenia pomocy znacznie by zmalały.

— Rozumiem — odpowiedziała krótko.

— I jeszcze jedno, czy mogłaby mi pani podać jakiś charakterystyczny szczegół, jakiś znak szczególny swego męża. Rysopis nie zawsze wystarcza. Proszę się dobrze zastanowić.

Chwilę się namyślała. Patrzył na nią. W ciągu krótkiego czasu od chwili spotkania jakże się zmieniła. Początkowo była przestraszona, podejrzewała podstęp. Stąd jej rezerwa, może nawet niechęć. Później, minuta po minucie, nabierała przekonania.

Na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech i niemal wykrzyknęła:

— Mam! Ma nie spotykany chyba znak szczególny — mówiła z przejęciem — prawie niedostrzegalny. U lewej ręki przy serdecznym palcu nie ma kostki. Widać to bardzo dokładnie, nawet gdy lekko zaciś- nie pięść.

— To już jest coś. Mam jeszcze jedną prośbę do pani. Niech pani napisze do matki list, który jej doręczę. Nie ma sensu jej martwić. To się na nic nie przyda —

powiedział z przekonaniem. — W liście proszę umieścić zdanie, które pani podyktuję.

— Czy teraz mam pisać? — spytała.

— Nie widzę innej możliwości — odpowiedział.

Podał jej papier i długopis. Gotowa do pisania, spojrzała na niego.

— Niech pan dyktuje — powiedziała.

— To zdanie winno się znaleźć w środku listu i jego treść musi dokładnie ujawnić ten szczególny znak pana Rafleda. Że u lewej ręki przy serdecznym palcu brakuje mu kostki.

Ciszkowski rozglądał się po sali restauracyjnej. Nie zauważył nic podejrzanego.

Teraz patrzył, jak Janka pisze list. A robiła to z taką wprawą, jakby wyuczony na pamięć tekst przelewała na papier. Nie zastanawiała się, nie namyślała, pisała- nie odrywając długopisu. A była przy tym tak zaferowana, że nic jej nie przeszkadzało: ani wrażenie z nieoczekiwanego spotkania, ani atmosfera niezwykłych w tym dniu wypadków. Już po raz drugi musiał ją w duchu pochwalić za umiejętność skoncentrowania się, za spokój, opanowanie i rozwagę.

Skończyła. Oderwała wzrok od listu.

— Przeczytam panu ten fragment.

— Bardzo proszę.

— „Nieraz śmiałam się z Johna, że ukrył przede mną swoją drobną wadę fizyczną.

Wyobraź sobie, że dopiero po paru miesiącach zauważyłam, że mój mąż nie ma kostki przy serdecznym palcu lewej ręki, co jest prawie niewidoczne. Wszystko wskazywało na to, że i on o tym nie wiedział albo nie zwracał na to uwagi. Przyznać musisz, że jestem spostrzegawcza“. Może być? — zapytała.

— Doskonale — pochwalił ją Ciszkowski.

— Co jeszcze chciałby pan wiedzieć, bo już muszę iść — spojrzała na zegarek.

— Proszę, niech pani wyjdzie pierwsza. Nikt nie powinien widzieć nas razem.

Jeszcze może jedną minutkę.

Ustalili, że Janina w korespondencji z matką używać będzie pewnych sformułowań, zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Na tym ich spotkanie się skończyło.

W hotelu Ciszkowski zastał czekającego już na niego Dilostę. Dilosta był zdenerwowany. Gdy

tylko dostrzegł Ciszkowski, zaczął wymachiwać biletem lotniczym i pokazywać palcem na zegarek, co miało oznaczać, że już najwyższy czas jechać na lotnisko. Z jego chaotycznych zdań wynikało, że Ciszkowski ma za godzinę samolot do Johannesburga, a stamtąd linią BOAC, jeszcze tego samego dnia odleci do Dar es-Salaam.

W parę minut Ciszkowski był spakowany. Na lotnisko przyjechali jeszcze na piętnaście minut przed odlotem samolotu, tak że było dość czasu na załatwienie formalności i nawet jeszcze zdążyli wypić pożegnalnego drinka.

W samolocie Ciszkowski miał czas przemyśleć wszystkie zdarzenia tego dnia. Był już pewien, że decyzja, jaką podjął w Warszawie, była słuszna. Gdyby nie on, może nikt w Polsce nie dowiedziałby się

o podstępnie wprowadzonych dziewczynach

i zmuszaniu ich do uprawiania prostytucji.

Jak wyrwać Janinę i Teresę z tego grzęzawiska, w które zostały wciągnięte, i jak zapobiec na przyszłość, żeby inne dziewczęta nie znalazły się w podobnej sytuacji? To już zostanie obmyślane w kraju. Znał majora Bielaka. Wiedział, że nie spocznie, póki nie znajdzie sposobu nakrycia tajemniczego Mariusza w Polsce, a może i na Rafleda uda się zastawić skuteczną pułapkę.

Z rozmyślań wyrwał go głos informujący pasażerów, że za parę minut lądować będą na lotnisku w Johannesburgu. Stewardesy sprawdzały, czy wszyscy mają zapięte pasy.

Johannesburg powitał Ciszkowskiego promieniami zachodzącego słońca. Na płycie lotniska spojrzął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Właściwie był najwyższy czas, żeby już zacząć załatwiać formalności związane z odlotem do Dar es-Salaam.

Staął przy okienku, licząc, że zostanie zaraz otworzone. Za nim ustawilo się kilkoro pasażerów, a później jeszcze paru — tak że wkrótce utworzyła się dość duża kolejka.

Zresztą i przy drugim była nie mniejsza.

Punktualnie na godzinę przed odlotem uroczą panią podniosła zasłonę i z czarującym uśmiechem zwróciła się do Ciszkowskiego :

— Please, sir!

Podał jej bilet i książeczkę żeglarską, wystawioną przez Polskie Linie Oceaniczne.

Bilet przyjęła obojętnie, natomiast książeczka, rzucona na sąsiednie stanowisko, trafiła do rąk rudowłosego dryblasza. Ten zagłębił się w odczytywaniu danych personalnych i nagle krzyknął:

— Communist country!

Nim Ciszkowski zorientował się, o co chodzi, prawie wszyscy pasażerowie z jego kolejki przenieśli się do drugiej. Myślał, że został sam przy okienku. Ale zauważył, że za jego plecami stoi jeszcze młody Hindus, w charakterystycznym turbanie na głowie, i przytulona do niego dziewczyna, Europejka. W pierwszej chwili i ona chciała odejść, ale jej towarzysz delikatnie, lecz zdecydowanie, powstrzymał ją.

Ciszkowski domyślił się, że to „communist country“ przyczyni się do przedłużenia formalności związanych z jego wyjazdem. I nie mylił się. Urzędnicy na lotnisku mieli w takich przypadkach przygotowany specjalny tryb postępowania: dodatkowe pytania, inny formularz, drobiazgową kontrola bagażu, niemal osobista rewizja.

Trwało to tyle czasu, ile trzeba było, aby odprawić prawie wszystkich pozostałych pasażerów'.

W czasie tej niecodziennej odprawy paszportowo-celnej Ciszkowski zastanawiał

się, czy przypadkiem w trakcie jego wędrówek po Durbanie nie śledzono go.

Wprawdzie nic podejrzanego nie zauważył, ale to wcale nie wykluczało możliwości, że był obserwowany.

Wchodził do samolotu spocony jak mysz. Stewardesa wTskazała mu miejsce obok Hindusa i dziewczyny, którzy nie zlekli się „komunisty“.

— Lecisz do Dar es-Salaam? — nawiązał rozmowę Hindus.

Ciszkowski, który znał język angielski, skinął głową.

— My też — rozgadał się Hindus. — Wyrzucono nas z tego kraju. Popełniliśmy wykroczenie, narażając się władzom — dodał, a widząc zaciekawione spojrzenie Ciszkowskiego opowiadał dalej: — Nasze przestępstwo polega na tym, żeśmy się pokochali i wTzięli ślub. A to według prawa tego kraju jest karalne. Kolor mojej skóry nic pozwala mi ożenić się z białą.

Ciszkowski spojrział na dziewczynę. Była ładna, ale jakaś taka smutna i zamyślona.

Barbarzyńskie prawo. Nie dla ludzi, ale przeciwko ludziom. Prawo wkraczające w sferę najbardziej intymnych uczuć, myślał Ciszkowski. Przypomnił sobie widziane na poczcie nad okienkiem tabliczki: „Dla Europejczyków“. Nawet przy odbieraniu i nadawaniu listów czy kupowaniu znaczków wprowadzone były kryteria rasowe.

— U nas, w Polsce, w czasie okupacji hitlerowskiej, było podobnie — powiedział do Hindusa. — W tramwajach, restauracjach, w kinach wisiały tabliczki z napisem: Nur für Deutsche. Polakom nie wolno było tam wchodzić.

Hindusa wyraźnie to zainteresowało.

— Między białymi? — zapytał, jakby nie mógł uwierzyć.

— Tak, między białymi — potwierdził Ciszkowski i pomyślał, jak niewiele siedzący obok niego człowiek wie o sprawach „białych“.

— Chcemy zamieszkać w Tanzanii. — Hindus wrócił do nurtujących go spraw.

Ciszkowskiemu żal się zrobiło tych dwojga młodych ludzi. Zamilkli. Oni — zatopieni we własnych myślach, kapitan również zagłębił się w swoich rozważaniach.

Pewne ożywienie w samolocie wywołane zostało podaniem przez stewardesę posiłków. Ciszkowski oderwał się od myśli, które dotychczas zaprzętały jego umysł.

Jedząc, spojrział na sąsiada z prawej strony: siedział tuż obok, po przeciwnej stronie przejścia.

Naraz ręka Ciszkowskiego z kanapką zawisła nieruchomo w powietrzu. Na zaciśniętej pięści sąsiada zauważył wyraźny brak kostki. Zaraz się jednak opanował.

Nawyk zawodowy wziął górę nad ludzkimi odruchami: na jego twarzy nie było śladu zaskoczenia czy zdziwienia. Odwrócił głowę, patrząc przez okno samolotu, mimo że na zewnątrz panował wieczorny zmrok. Po chwili odsunął jedzenie i przymknął

powieki, udając, że drzemie.

Przywołał na myśl wszystko, co jego pamięć zdołała zarejestrować o tamtym człowieku. Analizował, porównywał i konfron-

tował. Otwierał oczy, a wzrok jego błędził po pokładzie samolotu, aby zatrzymać się przelotnie — niby przypadkiem — na twarzy sąsiada. Obserwacje coraz bardziej utwierdzały go w przekonaniu, że siedzący tuż obok, w zasięgu jego ręki, człowiek jest mężczyzną, z którym chciał się spotkać w kraju. Lewa ręka, brak kostki przy serdecznym palcu. Wiek, wzrost, kolor oczu — też się zgadzają. Gdzie on teraz leci? —

zadawał sobie w myślach pytanie Ciszkowski. — Co planuje? Jakie ma zamiary?

Obserwowany zajęty był spożywaniem posiłku. Odstawił pustą, po wypitej herba-cie, szklanekę i oparł głowę na fotelu. Po chwili podniósł wzrok, wziął z półki teczkę i zaczął z niej wyciągać jakieś książki, wśród których Ciszkowski zauważył słownik angielsko-polski. To by potwierdzało słuszność przypuszczeń kapitana. Ciszkowski poczuł, że serce bije mu mocniej. Pierwszy raz znalazł się twarzą w twarz z przestępcą, przeciwko któremu nie mógł na razie nic przedsięwziąć. Mógł tylko raz jeszcze

przyjrzeć mu się, i to w dodatku dyskretnie, aby nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń.

Z rozkładu lotu orientował się, że samolot ląduje w Dar es-Salaam, Nairobi, Ad-dis-Abebie, Atenach, Rzymie i kończy lot w Londynie. Prawie w każdym z tych miast można się przesiąść na samolot lecący do Warszawy. Na wnioski jeszcze za wcześnie, ale nie wolno nie brać pod uwagę i takiej ewentualności.

Była już późna noc, kiedy samolot wylądował na lotnisku w Dar es-Salaam. Prawie wszyscy pasażerowie udali się na salę tranzytową: lecieli dalej. Tylko Hindus z żoną i Ciszkowski poszli do komory celnej.

Już prawie jako dobrzy znajomi opuszczali port lotniczy. Mieli wiele kłopotu z dostaniem się o tej porze do miasta. Na ten samolot taksówkarze nic czekali: nie spodziewali się pasażerów. Z Republiki Południowej Afryki do Tanzanii rzadko przybywali podróżni. A że inny samolot w najbliższym czasie nie był przewidziany —

ruch zaczął zamierać. Nawet te samochody i taksówki, które przywiozły pasażerów na samolot do Londynu, -z miejsca odjeżdżały, nie spodziewając się gości z Johannesburga. Tu, w Tanzanii, był już zupełnie inny świat: świat Afrykanów, świat, gdzie szanuje się każdy kolor skóry.

Przypadek chyba sprawił, że odnaleźli na skraju dużego parkingu śpiącego taksówkarza. Kazali się zawieźć do miasta. Młodzi małżonkowie — do hotelu, a kapitan do portu morskiego.

— Cheerio — pożegnał Ciszkowski swych współtowarzyszy podróży, życząc im szczęścia w nowej ojczyźnie.

Spojrzał na wodę. Niedaleko brzegu rysowały się kontury „Brodnicy“.

Kiedy Ciszkowski po urlopie przekroczył progi komendy, major Bielak już od tygodnia był w pracy.

— Melduję się po urlopie, towarzyszu naczelniku. — Ciszkowski stał wyprostowany przed przełożonym.

— Po urlopie? — W głosie majora czuło się zdziwienie. — Mam tu informacje z Gdyni, że „Kamienica“ najwcześniej przyplynie dopiero za dwa tygodnie.

— Ja przyplłynąłem „Brodnicą“ — poinformował go Ciszkowski.

— Widzę, bracie, że zmieniasz zawód równie łatwo, jak statki. Włączysz się gdzieś po świecie... Nie wydaje ci się to wszystko trochę ekstrawaganckie?

— Obywatelu majorze, wychowałem się nad morzem... zresztą uzyskałem na to zgodę.

— Wiem, wiem. No, dobrze: uzyskałeś zgodę, wróciłeś w terminie — formalnie nic ci zarzucić nie można.

— Przy okazji... — Ciszkowskiemu nie dane było skończyć.

— O, właśnie, o tej okazji chciałbym z tobą porozmawiać.

— Mam tu przygotowaną relację na piś

mie. — Ciszkowski podał majorowi pękata kopertę.

Bielak zawahał się, po czym wziął kopertę i położył ją na biurku.

— Przeczytam później. A ty siadaj.

Ciszkowski usiadł. Przygotowany był

na tę rozmowę. Wiedział, że major nie będzie zachwycony jego pomysłem. Zresztą w czasie podróży jego samego opadały wątpliwości, czy słusznie postąpił decydując się na to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Spojrzał niepewnie na przełożonego. W jego twarzy nie wyczytał nic dobrego.

— Więc uważasz, bracie, że jesteś w porządku.

— Chciałem z tym przyjść do was, przedstawić cały plan, prosić o akceptację. Ale ta choroba mi przeszkodziła.

— Tylko tyle masz na swoje usprawiedliwienie?

— Miałem jak najlepsze zamiary.

— Wiem, ale w naszej pracy na anarchię i partyzantkę nie możemy sobie pozwolić. Wiesz, co ci można zarzucić?

— v

— Ukryłeś główny cel swojej eskapady.

— Nie miałem nic do ukrywania. Was przecież nie było. Gdybym zaczął chodzić, tłumaczyć, przekonywać — to nie jestem pewien, czy cel zostałby osiągnięty.

— Mnie nie było, powiadasz. A skąd wiesz, że ja wyraziłbym na to zgodę?

— Miałem wystarczające argumenty. A teraz się okazało, że moja hipoteza była słuszna.

— Wszystko teraz przemawia za tobą, zgoda. Ale czy zastanawiałeś się też nad inną ewentualnością? Przypuśćmy, że twoje hipotezy nie sprawdziłyby się; że to. coś wymyślił, okazałoby się niewypałem. Przypuśćmy, że kobieta, z którą się kontaktujesz, stawia cię w sytuacji, powiedzmy, niedwuznacznej...

— Myślałem o tym. Były chwile, że żałowałem. Ale i na taką ewentualność przygotowałem sobie odpowiednią legendę. Piszę o tym wszystkim w tym dokumencie. — Wskazał na leżącą na biurku kopertę.

Major Bielak położył na niej rękę, jak

by dając w ten sposób do zrozumienia, że przeczyta, kiedy przyjdzie na to czas.

— I co mam teraz z tobą zrobić? — Patrzył na Ciszkowskiego przenikliwym wzrokiem. —

Pomyśl, co to by było, gdyby każdy zrobił, co mu strzeli do głowy.

Ciszkowski milczał. Nie miał sobie nic do zarzucenia; chciał, jak to się mówi.

„wykrzesać ze sprawy iskrę“. Z drugiej jednak strony musiał przyznać v.l. duchu rację przełożonemu.

— Muszę to opisać, zameldować i przedstawić wnioski. Tak, wnioski; tego ode mnie będą wymagać — usłyszał znów głos majora.

— Mogę wam tylko przyrzec, że drugi raz się to nie powtórzy. — W głosie Ciszkowskiego zabrzmiała rezygnacja. Nie patrzył na majora.

— Co cię skłoniło do złożenia takiego przyrzeczenia? — niespodziewanie zapytał major, a twarz mu się jakby ożywiła.

— Po prostu nie wszystko do końca przemyślałem — mówił wolno kapitan — może postąpiłem zbyt pochopnie. Coś z tej lekcji zostanie w człowieku.

— To właśnie chciałem usłyszeć od ciebie. — Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy major się uśmiechnął. — Ułatwiłeś mi trochę zadanie. No, a teraz przeczytam, coś tu powypisywał. — Sięgnął po kopertę. — Nic wychodź. Zostań, możesz się przydać.

Zabrał się do czytania, jak zwykle z ołówkiem w ręku. Coś tam podkreślał, stawiał jakieś znaki. Od czasu do czasu zadawał Ciszkowskiemu pytania.

— Czy myślisz — podniósł wzrok na Ciszkowskiego — że nie wpadlibyśmy na to sami? Bez twojego wyjazdu?

— Trudno mi powiedzieć. — W głosie Ciszkowskiego czuło się wahanie.

— A ja ci mówię, że wpadlibyśmy: wcześniej czy później, ale to by wyszło. Taka historia nie może długo pozostawać tajemnicą. Dobrze jednak, że wkroczyliśmy już na samym początku działalności tych panów. Toż to handel żywym towarem! Jeszcze tego nie mieliśmy w naszej praktyce. O tej Teresie z Katowic — przeszedł do konkretów — też tutaj dowiedzie

liśmy się. Rodzina myśli, że dziewczyna opływa w Durbanie w dostatki.

— Może to i lepiej, że nie starałem się z nią nawiązać kontaktu — stwierdził Ciszkowski na pół do siebie, na pół do majora.

Patrzyli na siebie. Bielak wiedział, że nic można przejść do porządku nad tą sprawą; że nie tylko interes służby wymaga od niego oceny rzetelnej i sprawiedliwej.

ale że właśnie przede wszystkim jest to potrzebne temu młodemu oficerowi milicji, który stawia dopiero pierwsze kroki w swej karierze zawodowej.

Ciszkowski czuł, że nie może liczyć na pobłażliwość przełożonego. Sam nie potrafił

się zdobyć na jednoznaczną ocenę. Gdyby nie to, że ustalił niezbitą fakty, które winny zaniepokoić MO — może nawet byłby skłonny przyznać, że jego wyprawa pozbawiona była sensu. Ale teraz, gdy złożył niezbitą dowody działalności przestępczej ludzi zajmujących się wywożeniem młodych kobiet...

— Wiecie co, kapitanie — głos naczelnika zabrzmiał niemal uroczyście — w naszej pracy potrzebna jest wyobraźnia, można usprawiedliwić i emocje, niezbędna jest inicjatywa, ale nad tym wszystkim musi górować logika, chłodna ocena faktów i zdrowy rozsądek.

— Zastanawiam się — Ciszkowski podjął temat — którego z tych elementów zabrakło w moim postępowaniu.

— Gdybym cię nie znał — Bielak spojrzał uważnie na swego podwładnego —

— poczytałbym to za ironię. Zastanów się sam, a znajdziesz odpowiedź. No, a teraz do rzeczy. — Major przybrał ton służbowy. — Aż do decyzji w swojej sprawie będziesz siedział w papierkowej robocie. W odpowiednim czasie zawiadomię cię, co postanowiono.

Odprawa służbowa dobiegała końca. W pokoju majora Bielaka zebrali się wszyscy pracownicy, którzy skierowani zostali do sprawy o kryptonimie „Turysta z Durbanu“. Razem z majorem było sześć osób. Wśród obecnych brakowało kapitana Ciszkowskiego. Jego udział uzależniony był od decyzji wyższych przełożonych. Major Bielak, który prowadził odprawę, poinformował zebranych, że, być może, do ich zespołu dołączy jeszcze Ciszkowski. ale nastąpi to w późniejszym okresie. Na razie będą pracować bez niego. Kierownictwo nad zespołem nadal sprawował major. Na zakończenie jeszcze raz podsumował, jakie postawiono im zadanie:

— Prowadzić sprawę w kierunku wykrycia wszystkich przestępców, którzy działali na terenie kraju; dążyć do ujawnienia i zatrzymania „Turysty“, jeśli się zjawi w Polsce. A najważniejsze: umożliwić wywiezionym dziewczętom powrót do kraju.

Powtarzam — zakończył major — że zadanie nie jest łatwe; wymagać będzie od was dużego poświęcenia i wysiłku. Wierzę, że zespół, który do tego został wyznaczony, nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei. W kierownictwie komendy uznano tę sprawę

— ze względu na jej społeczne znaczenie — za jedną z najważniejszych.

Każdy z członków zespołu otrzymał konkretne zadanie. Przystąpiono do akcji, od wyniku której zależało bardzo dużo. Przede wszystkim chodziło o zapewnienie moż-

liwości powrotu podstępnie wywiezionym dziewczętom, o wyrwanie ich z rąk ludzi, którzy w perfidny sposób zmuszali je do uprawiania odrażającej profesji, czerpiąc z tego olbrzymie zyski. Należało przerwać ich działalność na terenie Polski, a tym samym uchronić inne dziewczęta od podobnego losu. No, i rzeczą niebagatelną było postawienie przed sądem osób organizujących ten proceder.

Jak wynikało z dotychczasowych danych, przeciwnik był chytry, przebiegły.

Wszystkie posunięcia — zarówno w kraju, jak i tam, w Durbanie — maskowane były pozorami legalności, za którymi kryły się podstęp, szantaż i zmuszanie do uległości.

Prawne kwalifikacje tych czynów nie budziły wątpliwości: odpowiednie artykuły i paragrafy „Kodeksu karnego“ wystarczały, aby zapewnić odosobnione miejsca pobytu, i to na dłuższy okres, ludziom zamieszkanym w tę sprawę.

Plan majora przewidywał w pierwszej kolejności ustalenie tożsamości i odszukanie działającego w Polsce Mariusza Kowalskiego. Zebrane dotychczas informacje o tym człowieku wskazywały na niedwuznaczną rolę, jaką odgrywał on w tej sprawie.

O nim samym jednak wiedziano niewiele. Imię i nazwisko były prawdopodobnie fikcyjne. Posiadano jego rysopis. Nie bez znaczenia był szczegół o przydymionych okularach. Zarówno w Katowicach, jak i w Warszawie trzymał się w postępowaniu tych samych reguł.

Nikt go jednak nie widział w towarzystwie poznanych dziewczyn. Nie dawał im swojego adresu ani numeru telefonu. Opowiadanie poznanych kobietom, że niedawno ukończył studia i pracuje w swoim zawodzie, w handlu zagranicznym, to była z pewnością bajeczka, na którą obie dziewczyny dały się nabrać.

W tej sytuacji istniały tylko dwie realne możliwości odnalezienia tego człowieka.

Pierwsza — to czekać, aż w Polsce pojawi się „Turysta“ i zaprowadzi do niego. Ale to wymagało czasu, i nie było pewności, czy „Turysta“ przybędzie rzeczywiście po swoją kolejną ofiarę. Należało szukać innej możliwości. Plan, do realizowania którego przystąpiono z miejsca, był ciekawy i oryginalny. Trzeba było zastawić przynętę.

Następnego dnia w popularnej warszawskiej popołudniówce ukazało się ogłoszenie matrymonialne następującej treści:

Panna lat 20, nie posiadająca rodziny, po maturze, wysoka blondynka, podobno ładna, pozna obcokrajowca. Cel matrymonialny. Oferty pod numer...

W ogłoszeniu tym zakodowano w lakonicznej formie wszystko, co mogłoby zainteresować człowieka, którego szukano. Czy ryba połknie haczyk? To miały pokazać najbliższe dni.

Trzeba było działać z największą ostrożnością i rozwagą, jeśli zadanie miało być wykonane w całości. Wszelkie listy gończe, rozpowszechniane za pomocą prasy, radia czy telewizji — odpadały. To mogłoby wprawdzie doprowadzić do ujęcia Da riusza Kowalskiego, ale stawiałoby pod znakiem zapytania przybycie „Turysty“ i mogłoby poważnie skomplikować i tak już niewesołą sytuację dziewcząt w Durbanie.

Sukces byłby połowiczny, a główny cel nie osiągnięty.

Specyfika zadania wymagała współpracy kobiet. Przyjętej niedawno do pracy Magdzie Karskiej wyznaczono szczególną rolę. Wyglądem odpowiadała danym za-wartym w ogłoszeniu. To ona załatwiała umieszczenie anonsu w gazecie i miała być adresatką ewentualnych propozycji.

Inni pracownicy szukali w tym czasie śladów w biurach matrymonialnych. Za-pewniono sobie informacje z wydziałów paszportowych i urzędów stanu cywilnego.

Powoli zaczęła się rozkręcać opracowana drobiazgowo akcja.

Mijały dni. Zaczęły napływać pierwsze propozycje na ogłoszoną w prasie ofertę matrymonialną. Nie były to jednak te, których oczekiwano. Przeważnie od cudzoziemców studiujących w Polsce. Magda wpinała je do teczki, nie mając zamiaru odpisywać. Czekwała na list, którego nadawca napisałby, że ma przyjaciela cudzoziemca pragnącego ożenić się z Polką, czy też na list od obywatela polskiego, który chciałby się z nią skontaktować. Tymczasem amatorami byli Hindusi, Pakistańczycy i jeden Murzyn z Wybrzeża Kości Słoniowej. Później zaczęły nadchodzić propozycje z zagranicy. Z Francji, Anglii, z NEF — "przeważnie od Polaków z pochodzenia, szukających żony w kraju. Jeden list serdecznie wszystkich rozbawił. Zawierał

niewybredne epitety pod adresem Magdy, że przyczynia się do wystawienia Polkom nie najlepszej opinii za granicą.

Zgodnie z przypuszczeniami nie odnaleziono Mariusza Kowalskiego. Wprawdzie imię to i nazwisko nosiło kilkuset mężczyzn w Polsce, ale żaden z nich nie odpowiadał

rysopisem młodemu człowiekowi w wieku około dwudziestu sześciu lat, noszącemu przydymione okulary.

Tego dnia, jak zwykle zebrali się w gabinecie u sze'fa. Naczelnik wydziału miał jakiś dziwny wyraz twarzy. Wypieki na policzkach i błyszczące, rozgorączkowane oczy nadawały mu wygląd chorego. Jed

nak starsi pracownicy wiedzieli, że wszystkie te objawy są oznaką zapracowania i że do rozwiązania sprawy wiedzie jeszcze daleka droga. W pracy nie zawsze można oczekiwać samych sukcesów. Czasem trzeba przeżywać gorycz niepowodzeń.

— Magda — odezwał się major. — Jest jeszcze jedno zadanie dla ciebie. Przeczy-taj. — Podał jej gazetę.

Poszukuje się kandydatek w wieku 18—23 lat, o dobrej prezencji, do filmu fabularnego. Próbné zdjęcia odbędą się 2 października, o godzinie U. Zgłoszenia przyjmuje się... przy ul. Chełmskiej...

— To za dwa dni — powiedziała nieco zaskoczona.

— Tak, za dwa dni. Skorzystamy z możliwości, jakie podsunął nam film. Nie pójdziesz tam sama — mówił major. — Tylko dobrze się przygotuj. Nim zaangażują cię do filmu, musisz odegrać

bezbłędnie swoją rolę. — Uśmiechnął się.

— O! — wykrzyknęła Magda. — Nigdy nie myślałam, że będę się starać o pracę w filmie.

— Co zrobić, trzeba i tego spróbować. Warunki ku temu masz doskonale. —

Magdę mile polectał komplement.

— A jeśli sprawdzę się w filmie?

— To zostaniesz gwiazdą, ale przedtem czeka cię, być może, najtrudniejsza rola w życiu. Tylko że życie to nie film. Jest między nimi pewna zasadnicza różnica — zakończył.

— A jaka? — usłyszał pytanie.

— Że w tej roli nie możesz popełnić najmniejszego błędu.

Drugiego października o godzinie dziewiętej Magda wyszła z zakładu fryzjer-skiego. Musiała wrócić jeszcze do domu, aby się odpowiednio ubrać. W mieszkaniu czekała już na nią koleżanka z wydziału. Powyciągały z szaf wszystko, co Magda miała. Wybór odpowiedniego stroju nie należał do spraw prostych: nie można się było zdać na własny gust. Po godzinie, kiedy już doszły do wniosku, że nic lepszego nie wymyślą, Magda stanęła

przed lustrem. Wyglądała efektownie. Z uznaniem oceniła wysiłki koleżanki.

Punktualnie o jedenastej znalazły się przy bramie wytwórni filmowej na Chełmskiej. To co zobaczyły, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Popatrzyły na siebie i o mało nie parsknęły śmiechem: na chodniku zebrało się około trzech setek młodych kobiet. Straciły nadzieję, że ich plan się powiedzie; że w tym tłumie kandydatek na gwiazdy zostanie zauważona właśnie Magda.

Po przeciwnej stronie ulicy, wśród przygodnych gapiów spostrzegły swoich kolegów z wydziału. Dodało to Magdzie nieco pewności siebie.

Bramę otworzono dopiero po piętnastu minutach. Tłum kobiet wtargnął na dziedziniec wytwórni. Natychmiast utworzyła się kolejka przed drzwiami biura. Coraz to wybuchały sprzeczki o miejsce w kolejce. W sumie nie był to budujący widok.

Magda — jak to było przewidziane — pozostała z koleżanką na ulicy. Udawała niezdecydowaną. Postronny obserwator mógł się zorientować, że to nie jej, ale koleżance zależy na tym, żeby Magda wystąpiła w filmie. Zawzięcie nad czymś dyskutowały, spacerując tam i z powrotem po chodniku przed wytwórnią. Koleżanka niemal siłą chciała wciągnąć Magdę za bramę. Ta jednak się uparła. Broniła się, żywo gestykułując rękami. W końcu, jakby rozgniewana, ruszyła w kierunku przystanku autobusowego. Za nią z rezygnacją podążyła koleżanka.

W autobusie nie odzywały się, mimo że stały naprzeciwko siebie. Celowo ustawiły się tak, aby móc obserwować pasażerów. Agnieszka widziała tych, którzy byli w tylnej części wozu, a Magda obserwowała pasażerów z przodu.

Nagle Magda spostrzegła na twarzy Agnieszki błysk zainteresowania. Miała ochotę się odwrócić. Ale wiedziała, że tego jej zrobić nie wolno.

Po chwili usłyszała podniecony szept:

— Chyba jest. Wsiadamy przy Kruczej.

Magda podziwiała, jak ta spokojnie, z obojętną miną wygląda przez okno autobusu.

Przy Kruczej z autobusu wysiadły trzy

osoby. Kobiety ruszyły w kierunku Alej Jerozolimskich.

— Tylko się nie oglądaj — pouczała Magdę Agnieszka. — Przy Wilczej przejdziemy na drugą stronę ulicy. Wówczas spojrzysz do tyłu. Jeśli idzie jeszcze za nami, zauważysz go. Odpowiada rysopisowi. Ma też przydymione okulary. — Mówiła podnieconym szeptem.

Magda panowała nad sobą doskonale. Nie popełniła do tej pory najmniejszego błędu. Przy

Wilczej, na pasach, obejrzała się. Wśród niewielu o tej porze na ulicy osób widziała przez moment — a więc przez tyle czasu, ile trzeba na sprawdzenie, czy nie nadjeżdża samochód — młodego dwudziestoparoletniego mężczyznę o bujnej czarnej czuprynie, dość wysokiego, w krótkiej ortalionowej kurtce, w ciemnych okularach.

Prowadząc beztroską rozmowę, skręciły w Hożą.

— Zatrzymamy się przy antykwariacie

— zaproponowała Magda. — Teraz ty sprawdzisz.

Jeden rzut oka z perspektywy ulicy pozwolił Agnieszce ustalić, że chłopak w ortalionowej kurtce kroczy za nimi. Na Marszałkowskiej również go dostrzegły. Ze Składnicy Harcerskiej, dokąd weszły po jakieś zakupy, widziały go doskonale przez okno, stojącego przed budką „Ruchu“ i oglądającego czasopisma i książki.

— Nie ma rady, prowadzimy go pod twój adres — zdecydowała Agnieszka.

Po dziesięciu minutach znalazły się na cichej uliczce, przed domem, w którym mieszkała Magda. Był to czteropiętrowy budynek bez windy. Magda z pośpiechem otwierała drzwi. Podbiegła do okna, aby dyskretnie wyjrzeć na ulicę.

— Jest przed domem! Notuje chyba adres! — wykrzyknęła.

Agnieszka zadzwoniła do majora. Kazał oddać słuchawkę Magdzie.

— W komendzie się teraz nie pokazuj — polecił. — Usuń z domu wszystko, co świadczyłoby, że pracujesz u nas. Wiesz, co masz robić i jak się zachowywać. Reszta zależy od ciebie. Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie to niewypał. Trzymaj się.

Już trzeci dzień Magda wychodziła na swe codzienne wędrówki po mieście. Rozkład każdego dnia opracowywała w najdrobniejszych szczegółach. Codziennie po obiedzie wstępowała do czytelnicy, aby tam się uczyć z wypożyczonych podręczników.

Wracała do domu wieczorem. Podnosiła słuchawkę, aby zameldować, że nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Wprawdzie zauważyła na trasie swej wędrówki jakiegoś młodzieńca, ale nie był to znajomy z autobusu. Nawet nie wspomniała o tym majorowi. Wieczorem siedziała sama w domu, co skłaniało ją do niezbyt radosnych rozmyślań.

W takich chwilach zastanawiała się nad pracą, którą wybrała. Nieraz żał jej było, że nie może tak jak inne dziewczyny mieć unormowanego dnia pracy, a wolnych po-południ wykorzystywać według własnego uznania. Już od początku służby w milicji weszła w ten męczący i nie kończący się rytm działań. Zauważyła u siebie jakąś zmianę. Coś się w niej dokonywało, z czego może nie w pełni zdawała sobie sprawę.

Była przecież jeszcze młoda: nie skończyła dwudziestu trzech lat. Praca zawodowa stawiała ją często wobec problemów, które wymagały wiele wysiłku, wyrzeczeń i poważnego zaangażowania.

Zadanie, jakie jej przydzielono, było ważne. Nigdy jeszcze dotąd takiej pracy nie wykonywała. Czuła wciąż obawę, że nie podoła, że zadanie przerasta jej możliwości.

Miała tremę. Obawiała się potknięcia, które mogłoby zawalić tę całą misternie przygotowywaną akcję. Ogrom odpowiedzialności przygniatał ją. Mogła wprawdzie powiedzieć, że nie czuje się na siłach wykonać zadania. Szef to zrozumie. Ale sprawy posunęły się już tak daleko, że rezygnacja z jej udziału była niemożliwa.

Te niewesołe rozmyślania przerwał naraz dzwonek u drzwi. Podbiegła otworzyć.

Do mieszkania weszli major Bielak i Agnieszka.

— Nie gniewaj się, że tak późno — zaczął major — ale tylko o tej porze można ci złożyć wizytę.

— Proszę, siadajcie — zapraszała Mag-

— Siądziemy, porozmawiamy trochę i będziemy uciekać. — Głos majora był we-soły.

— Cieszę się, że przyszlście — powiedziała Magda.

— Stęskniłaś się za nami? — zażartował.

— Dużo ostatnio myślę o tej sprawie i powiem szczerze, trochę się boję, żebym czegoś nie zawałiła.

— Myślenie i obawy o dobre wykonanie zadania to podstawowa gwarancja, że wszystko dobrze się powiedzie.

— Nie jestem tego pewna — zaprzeczyła Magda.

— Mów, co cię gryzie. Porozmawiamy, przedyskutujemy. — Major objął dziewczynę ciepłym spojrzeniem.

— Obawiam się, że jeśli dojdzie do spotkania, to nie wytrzymam nerwowo. Mogę się zdradzić jakimś wystraszoną spojrzeniem. jakimś niepotrzebną ruchem, słowem.. sama już nic wiem czym..

— Moje dziecko, posłuchaj mnie uważnie. — Głos majora był poważny. — Ten człowiek nie podejrzewa, że go śledzi milicja. Nie będzie zatem przypuszczał, że osoba, którą sam wybrał, może być podstawiona. To on będzie się starał wzbudzić w tobie zaufanie. W swoim przekonaniu to on będzie kotem, a ty myszą. Do głowy mu nie przyjdzie, że sytuacja może być odwrotna. Gdyby cokolwiek podejrzewał, już dawno zwinąłby manatki — a nie rozglądał się za młodymi dziewczynami w Warszawie. O to możesz być zupełnie spokojna.

Major uśmiechnął się do Magdy.

— Kola, jaką masz odegrać — podjął znowu — to nic innego, jak być po prostu sobą: młodą kobietą. Poznajesz młodego człowieka, umawiasz się z nim, chodzicie do kina, kawiarni. Mamy przecież informacje, że on takiej znajomości nadaje zupełnie nietypowy charakter. Zresztą będziemy w ciągłym kontakcie. Nie zostawimy cię samej. Ważne, żeby to był właśnie on.

Spokojny, rzeczowy ton majora trafił Magdzie do przekonania. Poczula się pew-niejsza. Z wdzięcznością patrzyła na tego człowieka, którego wszyscy podwładni da-rzyli sympatią i uznaniem.

— Sprawa jest ważna — kontynuował major. — Dwie szantażowane, podstępnie wywiezione z kraju kobiety potrzebują pomocy.

— Wszystko będzie dobrze. Magda da sobie radę. Wierzę w nią — odezwała się milcząca dotąd koleżanka.

— A co ty na to, Magda? — zapytał Bielak.

— Zobaczymy, co będzie jutro; wychodzę z domu o dziewiątej. Tylko jak dotąd nie mogę go spotkać. Natomiast jakiś inny młodzian zjawia się na mych ścieżkach.

— No, żeby nam nie popsuł planów — zażartował major.

— O to może być pan spokojny.

— A jak on wygląda? — zainteresował się Bielak.

Magda podała rysopis, jak mogła najdokładniej. .

— Przyjrzymy mu się także, na wszelki wypadek — zdecydował.

Październikowy ranek był ciepły i pogodny. Promienie słoneczne padały na ulicę.

Ludzie wyżej podnosili głowy, jakby chcieli się jeszcze nacieszyć słonecznym ciepłem.

Magda — zgodnie z ułożonym programem dnia — szła w kierunku czytelnicy.

Oglądała wystawy. Otwierano właśnie pierwsze sklepy: była jedenasta. Uważnie, choć dyskretnie rozglądała się wokół, ale nie spostrzegła nic interesującego. Pomyślała z rozczarowaniem, że pewnie i ten dzień jakoś zejdzie bez większych wzruszeń.

Na Marszałkowskiej, przy Hożej, zatrzymała się przed witryną księgarską. Pobieżnie przejrzała

tytuły wystawionych książek. Otwarte drzwi księgarni skusiły ją do wejścia do środka. Niezdecydowana, oglądała rozłożone na ladzie książki. Paru przypadkowych klientów tkwiło w sklepie, nic kwapiąc się z zakupem. Ekspedientka podniosła na nią wzrok:

— Słucham panią?

Zapytała o książkę, której nakład od dawna był wyczerpany.

— Niestety, nakład jest już wyczerpany, nie mamy ani jednego egzemplarza.

Wątpię, czy pani mogłaby ją jeszcze gdzieś dostać — brzmiała odpowiedź, której oczekiwała.

— Szkoda, ja też szukam tej książki — niespodziewanie usłyszała głos za sobą.

Odwróciła się i nagle serce zaczęło jej bić gwałtownie. Przed nią stał młody człowiek. o czarnych włosach, w przydymionych okularach i ortalionowej kurtce. Nie miała żadnych wątpliwości: to był ten sam chłopak, który szedł za nimi, gdy wracały z wytwórni na Chełmskiej. Ten sam, którego rysopis tkwił w aktach w komendzie. Nie może teraz zrobić najmniejszego fałszywego kroku. Wszystko musi wyglądać naturalnie. Ona pierwsza nie może się do niego odezwać. Powoli szła ku drzwiom. Już sięgała ręką, aby je otworzyć, gdy młody mężczyzna podszedł do niej.

— Poszukujemy tej samej książki — powiedział.

— Ale nie można jej kupić, a ja muszę ją mieć. — Powiedziała to takim tonem, jakby od niego spodziewała się pomocy.

— Wie pani co? Możemy zrobić mały rajd po księgarniach: może jeszcze gdzieś dostaniemy.

Patrzyła na niego, udając, że się waha.

— Dobrze — zgodziła się po chwili. — Mam dzisiaj trochę czasu.

Wyszli na ulicę. Kiedy dochodzili do placu Konstytucji, zaproponował:

— Podzielimy się rolami: jeśli sprzedawcą będzie mężczyzna, pani z czarującym uśmiechem zapyta o tę książkę, i odwrotnie, jeśli za ladą będzie stała kobieta, wtedy ja będę klientem.

Roześmiała się.

— Myśli pan, że to odniesie jakiś skutek? — zapytała, ubawiona tą dowcipną propozycją.

— To jest niezawodny sposób kupienia czegoś spod lady. Niech mi pani wierzy.

W kupowaniu książek mam doświadczenie. Jestem przekonany, że znajdziemy.

— Zobaczymy. Chociaż ja nie jestem taka pewna, jak pan.

Proszę zawierzyć memu doświadczeniu. Chłopak mówił z dużą pewnością siebie i tak naturalnie, że gdyby nie znała całej sprawy, o nic nie mogłaby go posądzić.

Wędrówka po księgarniach zakończyła się fiaskiem. Wszędzie słyszeli nieodmienne tę samą odpowiedź: „Nie ma, nakład wyczerpany“.

Magda, porządnie już zmęczona, uznała za bezcelowe dalsze uganianie się za książką.

— Chyba musimy zrezygnować z dalszego chodzenia. Nic nie pomogło to pańskie doświadczenie — żartowała.

Chłopak wydawał się zakłopotany.

— Proponuję, żebyśmy wypili kawę; to nam dobx'ze zrobi po tym bieganiu po mieście. Naprawdę, nie chciałbym, żeby pani miała do mnie pretensję. Musimy rozstać się w zgodzie.

Magda wiedziała, że się zgodzi na kawę. Musi jednak choć przez chwilę trzymać go w niepewności.

— Zastanawiam się nad tą kawą — powiedziała jakby z wahaniem. — Straciłam dużo czasu, a muszę jeszcze być w czytelni. Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na kawiarnię.

— Ale to tylko na chwilę. Pójdziemy do kawiarni gdzieś w pobliżu czytelni — na-mawiał gorąco.

— Zgoda, ale nie na dłużej niż pół godziny. — Magda się uśmiechnęła.

— No, to idziemy. — Ruszył we właściwym kierunku.

A więc wie, do której czytelni chodzę, pomyślała Magda. Musiał ją cały ten czas Obserwować.

Weszli do kawiarni. Z trudem znaleźli wolny stolik, mimo że o tej porze dnia większość osób powinna być w pracy.

Młody chłopak od razu, energicznie przystąpił do grzebania w jej życiorysie. Widocznie odpowiedzi nie sprawiły mu zawodu, bo nie ukrywał dobrego nastroju.

Powiedziała mu, że jest panną, na utrzymaniu siostry. Teraz nie pracuje: po nie-powodzeniu w dostaniu się na uniwersytet postanowiła cały rok poświęcić na grun-towne przygotowanie się do egzaminu wstępnego w następnym roku.

— Wie pan, moje hobby to geografia. Muszę się dostać na ten wydział. Muszę poznać świat, przynajmniej z książek. Będzie to chociaż namiastka, pozwalająca za-spokoić pragnienie podróży, zwiedzenia

dalekich, egzotycznych krajów. Na tym punkcie jestem zupełnie zwariowana. —

Roześmiała się.

Na jego twarzy wyraźnie malowało się zadowolenie. Uśmiechając się, sięgnął po papierosa.

— Widzę, że mamy podobne zainteresowania. Bardzo cieszę się z naszego poznania. Pozwoli pani, że się przedstawię. Bardzo przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej... Nazywam się Marian Kowalski.

— Marian? — nie mogła ukryć zdziwienia. Umilkła natychmiast, karcąc się w myślach.

— Dlaczego panią to dziwi?

— Lubię to imię. Tak nazywał się chłopiec, z którym chodziłam — zmyśliła na poczekaniu.

— A teraz... już pani z nim nie chodzi?

— Tak się jakoś złożyło... Zresztą on się już ożenił. Nie ma o czym mówić. Pana też interesuje geografia? — zmieniła temat.

— Tak, bardzo. Tylko że ja zwiedzam kraje nie z nosem w atlasie. Ułatwia mi to moja praca. W handlu zagranicznym wyjeżdża się często na akwizycje. Poznaje człowiek ciekawych ludzi, kraje...

— To musi być fantastyczne — powie- działa z udanym zachwytem.

— Na pewno. I muszę pani powiedzieć, że nie powszednieje mi to. Wręcz przeciwnie, w miarę upływu czasu te podróże stają się dla mnie coraz bardziej pociągające.

— Nie wszyscy mogą tego uczucia doświadczyć. — Udało jej się nadać swemu głosowi odcień zazdrości.

Zjawiała się kelnerka z kawą. Po jej odejściu wrócili do przerwanej rozmowy.

— Jaki kontynent uważa pani za najciekawszy? — zapytał.

— Czy ja wiem — udała niezdecydowanie. — Gdybym żyła w dziewiętnastym wieku, na pewno zachwyciłabym się Ameryką Północną. Ale teraz... Może Ameryka Południowa, może Azja? A pan?

— Ja jestem zafascynowany Afryką. Czarną Afryką. Kraje na tym kontynencie obfitują w takie kontrasty, o jakich nam się nawet nie śniło.

—

W jakim był pan kraju w Afryce? — zapytała nieśmiało.

Uśmiechnął się.

—

Za równikiem prawie we wszystkich. Widzę, że panią to interesuje. Mogę pani coś opowiedzieć.

—

Chętnie bym posłuchała. Ale muszę być jeszcze dzisiaj w czytelni. — Spojrzała na zegarek.

—
Więc umówimy się na inny dzień — zaproponował.

— Bardzo chętnie — zgodziła się.

—
Może jutro? — Spojrzał na nią pytająco. — Tu, w tej kawiarni. Powiedzmy: o godzinie jedenastej. Wskoczę z biura.

•— Dobrze, będę o jedenastej — odparła.

—
A gdyby mnie albo pani coś wypadło, to jak się spotkamy?

—
Dam panu swój telefon — odparła bez namysłu.

—
Już piszę. — W pośpiechu wyciągnął notes i długopis.

Rozstali się; Magda poszła w kierunku czytelnicy. Miała ochotę zaraz pojechać do domu i natychmiast zadzwonić do wydziału. Wiedziała jednak, że tego zrobić nie może.

Dopiero późnym wieczorem, po powrocie do domu, podniosła słuchawkę i złożyła majorowi relację z przebiegu pierwszego spotkania.

Sekretarka nacisnęła guzik przełącznikowego aparatu. Usłyszała głos majoi*a.

—
W biurze przepustek jest pani Zgierska — poinformowała szefa. — Mówi, że otrzymała list od córki.

—
Proszę dać jej przepustkę i przyprowadzić ją tutaj. Jest Ciszkowski? — zapytał.

— Zaraz sprawdzę.

— Niech też przyjdzie do mnie.

Podczas gdy sekretarka pobiegła po

Zgierską, Ciszkowski zameldował się u majora Bielaka.

—
Siadaj. Zaraz przyjdzie Zgierska. Otrzymała list od córki. Możesz być potrzebny.

—
Jestem ze sprawy wyłączony. — Ciszkowski nie patrzył na przełożonego.

— Nie bądź taki hardy. — W głosie

majora czuło się zdenerwowanie. — Obraziłeś się. Poczekaj jeszcze trochę: z tobą nie taka prosta sprawa. Gdyby nie było wątpliwości, byłbyś już dawno ukarany.

Przerwało mu pukanie do drzwi.

— Proszę — odpowiedział major.

Do pokoju weszła Zgierska.

— Panie majorze — zaczęła od drzwi — pan Ciszkowski zapewniał mnie, że u mojej córki jest wszystko w porządku. Mówił mi, że nic dzieje się jej żadna krzywda. To dlaczego z każdym listem muszę biegać do komendy? Powiedzcie mi, panowie, co się za tym kryje?

— Czy córka pisze coś, co by panią mogło zaniepokoić?

— Nie, teraz listy są takie, jak dawniej, jak na początku.

— No to. czemu pani się denerwuje? Chcemy upewnić się, czy nie ma powodów do obaw. Jeśli coś zauważymy, od razu powiemy pani. Może być pani tego pewna.

Można prosić o ten list?

Zaczęła grzebać w torebce. Podała go majorowi.

— Proszę — powiedziała. — Tylko jednej rzeczy nie mogę z niego zrozumieć.

Pisze, żeby zaopiekować się czarnym kotem, który biegał po naszej klatce schodowej i przychodził do nas od czasu do czasu na spodeczek mleka. Ten kot nie był wcale czarny, ale biały, i już go dawno nie widziałam. Co jej się przypomniało? Nie mogę tego zrozumieć.

— Zwyczajnie, zapomniała, jakiej był maści; można to jej wybaczyć — powiedział spokojnie major.

— Już nie wiem, co się ze mną dzieje. Raz jestem spokojna, kiedy indziej naj-drobniejsze głupstwa denerwują mnie i wytrącają z równowagi.

— Niech się pani zwróci do lekarza. Potrzebny jest pani spokój, odpoczynek.

— Jedyne lekarstwo to zobaczyć Jankę. Gdybym mogła z nią porozmawiać. —

Westchnęła.

— Proszę nam zaufać. Chcemy, żeby to nastąpiło jak najszybciej. Jestem przekonany, że niedługo zobaczy pani córkę.

Podczas gdy major rozmawiał ze Zgierską, kapitan Ciszkowski czytał list. Coś notował, porównywał, zastanawiał się. Ma

major spostrzegł w jego twarzy zainteresowanie. Widać znalazł zakodowaną informację dla siebie. Pochłonięty lekturą listu, nie zwracał uwagi na toczącą się rozmowę w pokoju. Oderwał wzrok, kiedy Zgierska podniosła się, aby wyjść. Oddał jej list. Zostali w pokoju sami z majorem.

— No, co tam wyczytałeś? — zapytał Bielak z zainteresowaniem.

— Tak jak przypuszczaliśmy, należy spodziewać się przyjazdu „Turysty“. Sygnał o zaopiekowaniu się „czarnym kotem“ mówi sam za siebie.

— Miejmy nadzieję, że zbliżamy się do końca tej sprawy. — Major był zadowolony.

— Czy będę jeszcze potrzebny? — Dobry nastrój majora nie udzielił się Ciszkowskiemu. Z jego głosu przebijała nuta gorczy.

— Zaczekaj — powstrzymał go major i podniósł słuchawkę.

Połączył się z pułkownikiem. Zameldował się i poprosił o rozmowę.

— Wróć, to porozmawiamy — powiedział Ciszkowskiemu i obaj opuścili gabinet.

Gdy Magda wchodziła do kawiarni, Kowalski siedział już przy stoliku. Zobaczył ją z daleka. Na jego twarzy zjawiał się uśmiech. Skinieniem ręki powitał ją jak starą znajomą. Gdyby nie znała zamiarów tego człowieka, zachowanie jego uznałaby za normalne. Ale wiedziała, do czego on dąży. W tym gościu czuło się pewność osiągnięcia bliskiego celu, pewność — że ofiara już mu się z rąk nie wymknie.

Magda była ciekawa kolejnego spotkania. Co będzie mówił? Jakie wysunie propozycje? Jakie szczegóły planu przewidział w tej rozgrywce? Nie ulegało wątpliwości, że i on przygotował się do tej rozmowy dokładnie.

Usiadła na wskazanym krześle. Poprosiła o kawę i ciastko.

— Cieszę się z tego spotkania — powiedział jej na powitanie — bo mogę pani pożyczyć powieść, którą wczoraj chcieliśmy oboje kupić. — Wyciągnął książkę z teczki i położył ją przed Magdą.

— Jestem panu naprawdę wdzięczna. — Magda z zainteresowaniem oglądała książkę. — Pan już przeczytał? — zapytała.

— Oczywiście, jeszcze wczoraj. Udało mi się ją pożyczyć od kolegi.

— Widzę, że z biblioteki. — Magda zauważyła, że książka ma pieczętkę biblio-teczną i numer.

— Najważniejsze, że można ją przeczytać — powiedział to tak, jakby się spodziewał pochwały za swoje starania.

— Oczywiście, jestem panu naprawdę wdzięczna. — Magda w lot zorientowała się, o co mu chodzi. Schowała książkę do siatki. — Miał pan mi opowiedzieć o Afryce, o swoich podróżach. Umieram z ciekawości.

— A czy chociaż ma pani dzisiaj czas?

— zapytał.

— Naturalnie. Muszę się panu przyznać, że zarezerwowałam sobie całe przedpołudnie aż do obiadu.

— Cieszę się z tego — powiedział. — Ale co panią najbardziej interesuje?

Magda gruntownie przygotowywała się do swej roli: przeczytała kilkanaście książek o Afryce. Zestaw literatury dobrała szczególnie starannie. I aczkolwiek temat nie był dla niej aż tak frapujący, to jednak wszystkie książki przeczytała z niemałym zainteresowaniem. Szczególnie zaciekały ją życie i obyczaje szczepu Masajów, żyjących w rejonie Kilimandżaro, na pograniczu Tanzanii i Kenii. Członkowie tego szczepu wyglądem zewnętrznym, karnacją skóry, budową ciała przypominali mieszkańców starożytnego Egiptu. Zapytała więc o ten szczep.

Uśmiechnął się. Widać było, że temat ten nie jest mu obcy.

— Właściwie — zaczął — byłem tam tylko raz. Dwa lata temu — dodał. — Masajowie zajmują się wypasem bydła. Ale nie dla mięsa i nie na sprzedaż: potrzebne im jest mleko i krew, którą spuszczają po nacięciu szyi zwierzęcia. I w specjalnych tykwach sporządzają z tych dwóch płynów cocktail, który uważają za najsmaczniejszy napój świata...

Magda bez trudu spostrzegła, że całe to opowiadanie jest powtórzeniem treści od-powiednich rozdziałów książki Korabici-

cza, który, podróżując po krainie Masajów, opisał ich życie i zwyczaje. Gdy mówił o wojowniku tego plemienia — wiedziała, że powTie, jakim się cieszy szacunkiem i z jakich względów korzysta u pozostałej społeczności, szczególnie młodych kobiet, bez względu na to, czy są mężatkami czy nie. Udawała zainteresowanie,, od czasu do czasu stawiała jakieś pytania, Ale marzyła, żeby jak najszybciej skończył. W tym spotkaniu nie wystawił sobie opinii człowieka inteligentnego. Nie mogła zrozumieć, że młode dziewczyny nie zwróciły uwagi na jego ograniczoność. Jego sposób bycia, rozmowy, przedstawiania wiadomości nabytych z książek świadczyły, że musiał mieć poważne luki w wykształceniu. Nie była pewna, czy ukończył szkołę średnią. Dlaczego jej poprzedniczki nie zwróciły na to uwagi? Z rozmyślań wyrwał ją głos Kowalskiego:

— Ciekawy szczep ci Masajowie. — Było to raczej stwierdzenie aniżeli pytanie.

— Tak, to bardzo interesujące — powiedziała. — Chciałabym tam pojechać.

— Wszystko jest możliwe, życie różnie się układa. Nikt nie może przewidzieć, co go czeka.

— Nie bardzo w to wierzę — bez przekonania odparła Magda.

— Żyje pani wśród ludzi. A ludzie ludziom pomagają.

— Pan jest optymistą. — Magda starała się ułatwić mu zadanie.

— A pani musiała w życiu przeżyć dużo zawodów?

— Stara się pan odgadnąć moją przeszłość r

— Chyba się nie pomyliłem?

— Może — odparła, jakby chciała utwierdzić go w tym przekonaniu. -Jego pewność siebie wytrącała ją trochę z równowagi. Nieprzeciętny tupet, z jakim zabierał się do sprawy, uważała za impertynencję. Pomyślała z irytacją, że traktuje ją jak niedopierzoną

gąskę. Stwierdziła, że nie był to ani trudny, ani sprytny przeciwnik.

Nie było w nim nic, co mogłoby imponować. Przeciętność, szara przeciętność — i nic więcej. Niepotrzebnie miała taką tremę.

— Dlaczego pani milczy?

— Rozmyślałam nad tym, co mi pan powiedział. — Zmusiła się do uśmiechu.

— Chciałbym coś pani zaproponować, ale boję się, że pani nie potraktuje tego poważnie.

Nie wiem. Zależy, co usłyszę.

— Wie pani, z racji swego zawodu jeżdżę niemal po całym świecie. Poznałem dużo ciekawych ludzi. A wśród nich jednego, który, zachwycony urodą polskich kobiet, pragnie ożenić się z Polką. Jest to stosunkowo młody i bogaty człowiek. Posiada duże udziały w firmie eksportowej. Gdyby miała pani takiego męża, mogłyby się spełnić pani marzenia.

Pilnie wpatrywał się w jej twarz, śledząc jej reakcję.

— Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Takiej propozycji naprawdę się nie spodziewałam.

Teraz należało zarzucić go pytaniami. Pytała więc o wygląd tamtego, wzrost, zainteresowania, czy był już w Polsce. Czy mówi po polsku. Rysopis kandydata na jej męża odpowiadał w ogólnych zarysach temu, jaki podawała Janka i jej matka.

Z zachowania Magdy wynikało, że jest zachwycona propozycją, chociaż nie dała jeszcze żadnej odpowiedzi.

- Spadło to na mnie tak nagle, że nie wiem, co powiedzieć.

— No, ja nie nalegam, ale gdyby pani wyraziła chęć... — Nie dokończył. Był przekonany, że dziewczyna zapaliła się do jego projektu. I następny krok będzie już tylko kwestią czasu.

— Naczelniku, przysłali z wydziału paszportów. — Sekretarka wręczyła pismo wchodzącemu majorowi Bielakowi.

Był to list młodej dziewczyny, która pytała, czy po wyjściu za mąż za cudzoziemca może wyjechać do Afryki, zachowując obywatelstwo polskie i czy — gdyby jej życie małżeńskie nic ułożyło się najlepiej — będzie mogła wrócić do kraju. I cała litania pytań. Widać było, że dziewczyna jest przejęta, ale nic bardzo pewna swojego szczęścia i chce gruntownie zbadać możliwości odwrotu.

— Ciekawe — mruknął major. — Proszę wezwać Ciszkowskiego.

— Dziesięć dni aresztu — usłyszał od progu Ciszkowski. — Każdego dnia po pracy będziesz zostawał w wydziale. Nie możesz składać wizyt ani przyjmować u siebie gości. Nie wolno ci chodzić do teatru i kina. I w ogóle — z pracy do domu i z domu do pracy. Dołączony zostajesz do zespołu zajmującego się sprawą „Turysty“. Są pytania?

— Nie ma. — Ciszkowski machnął ręką, jakby kara, którą mu wymierzono, była bez znaczenia.

— Będiesz w kontakcie telefonicznym z Magdą. Pamiętaj: żadnego fałszywego kroku. Niech wam czasem nie strzeli do głowy, żeby śledzić tego gagatka. Żadnych posunięć, które mogłyby w nim wzbudzić podejrzenie.

Ciszkowski na drugi dzień rano był już w bibliotece. Udał się prosto do kierownika. Wyjął legitymację służbową.

— Szukacie przestępców wśród naszych czytelników — mruczał pod nosem kierownik, starszy już pan o siwiejących włosach, i podreptał po karty czytelników, którzy w ostatnim okresie wypożyczyli interesujące przybyłego oficera MO tytuły.

Biblioteka była jeszcze nieczynna — stąd możliwość szybszego dostarczenia kart, bez przerywania toku normalnej pracy. Starszemu człowiekowi nie przyszło to jednak łatwo.

Poszukiwanie przeciągało się. Ciszkowski zaczął się już denerwować: kierownik ciągle nie nadchodził. W końcu ruszył jego śladem. Spotkali się w korytarzu. Kierownik trzymał karty i notatki w ręku.

— Proszę sobie wyobrazić, że cztery spośród pięciu wymienionych przez pana książek czytał ten sam czytelnik z jakimiś afrykanistycznymi zamiłowaniem. Oto jego karta.

— A tę drugą mogę poprosić?

— Proszę, proszę. Chodźmy do mnie, do mojego pokoju. — Staruszek podreptał przed siebie, a za nim Ciszkowski.

Każda rubryka w karcie była skrupulatnie wypełniona. Czytelne nazwisko i imię, adres, numer dowodu osobistego i podpis czytelnika.

W notesie Ciszkowskiego zapisane zostało nowe nazwisko i adres: Mariusz Janćyszyn, zameldowany w Warszawie przy ulicy Kanarkowej. Może ten człowiek nie ma nic wspólnego ze sprawą? To trzeba ustalić. Ale jak skoro major zabronił podej-

;
mowania jakichkolwiek czynności, które nie dałyby stuprocentowej gwarancji zachowania tajemnicy. I tak dobrze, że zgodził się na grzebanie w bibliotece. Przyznawał jednak majorowi rację i podzielał jego zdanie, że najważniejszy jest przyjazd

„Turysty“. A każdy nieprzemyślany krok mógł tę szansę przekreślić bezpowrotnie.

— Pani nazwisko? — spytał porucznik młodą dziewczynę, przybyłą do wydziału paszportów.

— Beata Jarzyńska — odpowiedziała cichutko.

— Proszę, niech pani siada. — Wskazał krzesło. — Tyle nam pani zadała pytań w swoim liście, że aby odpowiedzieć na wszystkie, trzeba by było zużyć kilkanaście arkuszy papieru — zażartował. — Poprosiliśmy więc panią do nas. Wszystko sobie wyjaśnimy. — Uśmiechnął się do niej.

— Myślałam, że jestem proszona w sprawie wypadku drogowego, którego byłam świadkiem.

— W tej sprawie też panią poproszą, tylko innym razem. No, więc do rzeczy. —

Porucznik wziął do ręki list. — Pierwsza sprawa — porucznik przybrał rzeczowy ton.

— Obywatelstwa polskiego nie musi pani tracić. Trzeba się starać o paszport konsularny. Wie pani, wtedy jest się obywatelem polskim mieszkającym stale za granicą. W każdej chwili można wrócić. Wiele osób z takimi paszportami przebywa poza granicami kraju...

Porucznik przerwał, zauważywszy, że dziewczyna go nie słucha; myślami jest zupełnie gdzie indziej.

— Czyżby to pani nie interesowało? — zapytał.

— Właściwie... tak. przestało mnie to już

obchodzić. Już mi te informacje nie będą potrzebne. — Beata była wyraźnie zdenerwowana.

— Coś się zmieniło?

— Głupia sprawa, nie warto o niej mówić. — Machnęła ręką.

— To nieładnie pisać sążniste listy, stawiać tyle pytań, bez potrzeby zabierać innym czas — z nutą wymówki w głosie powiedział porucznik.

— Przepraszam, ale nie myślałam, że tak głupio wyjdzie — zaczęła się usprawiedliwiać.

— Ale co się stało? Czyżby kandydat na męża zmienił zdanie? Czy też pani zrezygnowała?

— Widzi pan, postąpiłam pochopnie. Wszystko jeszcze było kijem na wodzie pisane, a ja już wszczęłam starania o paszport. Trochę mi teraz głupio... Poznałam młodego mężczyznę. Zaczął mi opowiadać

o swoich Wyjazdach za granicę. Mówił, że ma znajomego, który koniecznie chce się ożenić z Polką. Zaproponował, że pozna mnie z nim, że na pewno mu się spodoba i że — jak tylko wyrażę

zgode — mogę za niego wyjść za mąż. A ja w to wszystko uwierzyłam i napisałam do was ton idiotyczny list.

— Przypuszcza pani, że zakpiono sobie z niej?

— No, a jak to inaczej zrozumieć?! Umówił się, ale nie przyszedł na spotkanie; już od kilkunastu dni nie daje znaku życia. Przeczuję, że już się nie pokaże.

— Może spotka go pani gdzieś na mieście i wtedy powie mu pani, co o nim myśli.

Chyba, że go pani nie pozna.

— Z daleka bym go poznała! Czarne włosy, przydymione okulary... Zgrywał się na Cybulskiego.

To wystarczyło. Nie ulegało wątpliwości, że uzyskane od dziewczyny informacje należy potraktować poważnie. Ona sama prawdopodobnie nie przeczuwała nawet, że przyniosła do komendy wiadomość tak ważną dla sprawy, do której zaangażowany został kilkusobowy zespół pracowników MO.

Wcześniej ustalono już, że gdyby okazało się, że chodzi o „Turystę“, należy utwierdzić dziewczynę w przekonaniu, że

milicja — poza chęcią udzielenia informacji — absolutnie się tą sprawą nie interesuje.

Było to konieczne ze względu na bezpieczeństwo: Beata mogła być podstawiona, żeby ustalić, czy milicja nie wpadła na trop.

— Widać chciał chłopak pani zaimponować. Niech się pani tym nie przejmuje.

Nikt o tym przecież nie wie. Ja na pani liście napiszę, że zainteresowana nie zgłosiła się po informacje, i włączę go do akt spraw załatwionych. Zgoda? — Porucznik nic patrzył na dziewczynę.

— Dobrze, dziękuję panu. — Podniosła się z krzesła.

Na następne spotkanie Magda spóźniła się około piętnastu minut. Zrobiła to celowo. Nie chciała, żeby Kowalski myślał, że tak łatwo da się wciągnąć w pułapkę. W wydziale ustalono, że trzeba zmusić go do nieco większego wysiłku.

Major, słuchając relacji z poprzedniego spotkania, nie był zachwycony, chociaż wszystko przebiegało zgodnie z założeniami. Major nie obawiał się Kowalskiego. Ten, na dobrą sprawę, nic więcej wymyślić nie mógł. Chociaż niewykluczone, że i on może się zdobyć na jakieś nieprzewidziane posunięcie. Ale tamci, podejmując ryzyko, będą chcieli zapewnić sobie maksimum bezpieczeństwa. Ostatecznie już po raz trzeci w identyczny sposób planują wywiezienie dziewczyny. Na pewno będą chcieli znać wszystkie okoliczności poznania; wiedzieć, jak przyjęła propozycję i w jaki sposób wyraziła na nią zgodę.

Spóźnienie Magdy Kowalski przyjął ze zrozumieniem. Nie robił jej wymówek.

Kiedy usprawiedliwiała się i przepraszała go, machnął tylko ręką, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Zamówili kawę. Czekala, aż pierwszy zacznie rozmowę. Nieoczekiwanie zapytał ją o książkę, którą pożyczył na poprzednim spotkaniu.

— Nie przeczytałam jeszcze. Czy już musi pan ją oddać?

— Kolega dzwonił do mnie i prosił o zwrot.

— Mam ją w domu, ale chciałabym dokończyć.

— W takim razie kolega musi poczekać, nie ma innej rady.

— Postaram się ją jak najszybciej oddać.

— No, to znowu nic pilnego. — Mówił obojętnie. — Tylko nie chcę, żeby mi głowę zawracał. Rozumie pani, jak taka piła zacznie mordować człowieka...

Otworzył swoją aktówkę. Zaczął czegoś szukać wśród papierów.

— Nie wziąłem z sobą, zostawiłem w domu. A to pech! — Zamknął teczkę i ciągnął

dalej: — Opowiadałem o swoim przyjacielu, który chce koniecznie ożenić się z Polką.

Właśnie napisał do mnie. I już w tym liście pyta konkretnie, czy mógłbym mu w tym pomóc.

Spojrzał na nią, oczekując odpowiedzi.

—Ta propozycja była dla mnie dość zaskakująca — odpowiedziała. — Rozmawia-

łam z siostrą. Jest temu przeciwna. Jej argumenty trafiają mi do przekonania. Przede wszystkim nie znam go. Nie wiem, kto to jest? Jak wygląda? Co robi? Jak na tak poważną sprawę — za dużo niewiadomych.

—Mogę pani o nim opowiedzieć. Zareczam pani, że inne dziewczęta na pani miejscu nie miałyby tylu skrupułów.

—Ale ja jestem nietypowa. — Uśmiechnęła się.

—Myślałem, że po dzisiejszym spotkaniu wyślę mu konkretną propozycję. —

Udawał rozczarowanie.

—Ale dlaczego pan mnie wybrał? Nie zna pan innych dziewcząt?

—Tak z ręką na sercu, nie znam. A pani idealnie pasuje: inteligentna, młoda, ładna, mądra...

—No, no, niech pan nie przesadza.

—To jest stosunkowo młody człowiek

— mówił dalej. — Bogaty, prowadzi firmę eksportową. Ma piękną willę.

—O tym już słyszałam. A jak wygląda?

— dopytywała się Magda.

Niespokojnie podniósł rękę do okularów.

—W takim razie napiszę, żeby przysłał zdjęcie — zdecydował się wreszcie.

—O, to już coś konkretnego — ucieszy-

ła się. — Tylko nie wiem, czy zdołam przekonać siostrę, a nie chciałabym postępować wbrew jej woli.

- Poradzi sobie pani. Wierzę w panią.

— A pan nic zechciałby mi pomóc? Może coś razem wskóramy.

— Z różnych względów nie chciałbym. Ostatecznie jest pani dorosła i sama może decydować.

— Dobrze — powiedziała zdecydowanie. — Ale przedtem muszę go zobaczyć, chociaż na zdjęciu.

— Jeszcze dzisiaj do niego napiszę - przyrzekł.

Przedświąteczna gorączka ogarnęła Warszawę. W sklepach stoiska oblegane były przez kupujących. Ekspedienci mieli pełne ręce roboty. Na ulicach było więcej ludzi niż zwykle. Z nie domkniętych drzwi tramwajów wystawały wierzchołki choinek —

symbol nadchodzących świąt. Prószył śnieg. Wieczór, szybko zapadający o tej porze roku, rozbłysnął światłami lamp ulicznych i wystaw sklepowych.

W tłumie przechodniów szli Magda i Marian Kowalski. Ich spotkania w ostatnich tygodniach niczym się właściwie nie różniły. Rozmowa zawsze sprowadzała się do tego samego tematu. Magda nie mogła doczekać się listu z Republiki Południowej Afryki z fotografią jej potencjalnego towarzysza życia. Zawsze słyszała od Kowalskiego nieodmienną odpowiedź, że listu jeszcze nie otrzymał i sam się dziwi, dlaczego tak długo musi czekać.

Wreszcie nadszedł list z fotografią i życzeniami świątecznymi dla Magdy. Kowalski, wyraźnie podekscytowany, niezwłocznie zadzwonił do niej. Nie umawiali się w kawiarni. Spotkali się jeszcze tego samego dnia przed rotundą PKO.

Szli ulicą. Przed którąś z oświetlonych wystaw sklepowych Kowalski wręczył

Magdzie kartkę z życzeniami i fotografią. Magda obejrzała je z jednakowym zainteresowaniem.

niedługo zatrzymała wzrok na zdjęciu.

— Przystojny — powiedziała z uznaniem.

Trzymała w ręku fotografię mężczyzny, którego знаła z opisu Ciszkowskiego i rysopisu sporządzonego na podstawie opowiadania Zgierskiej. Wszystko się zgadzało.

Nie mogły jej zwieść ani inaczej przystrzyżone włosy, ani zgolone wąsy. Na odwrocie fotografii była dedykacja: „Dla Magdy — John“.

— Widzę, że pański znajomy zna język polski.

— No, nie na tyle, żeby swobodnie rozmawiać. Sądzę jednak, że pani mu w tym pomoże.

— • Czy będę dobrą nauczycielką? -- zapytała kokieteryjnie.

— Sądzę, że tak. Wszystko będzie zależeć od pani — popatrzył na nią z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

— Postaram się — przyrzekła Magda.

— Najważniejsze, że on się pani podoba. Sądzę, że w rzeczywistości jeszcze korzystniejsze wywrze na pani wrażenie. Musimy poszukać jakiejś kawiarenki —

zmienił nagle temat. — Musze pani coś uroczyście zakomunikować.

— Nic pan powie teraz, bo umieram z ciekawości.

— Powiedziałem pani, że musi być uroczyście — upierał się.

— To niech pan chociaż powie, czy to dotyczy Johna?

Pierwszy raz wymieniła jego imię. Wydało jej się, że sztucznie zabrzmiało w jej ustach.

— Zgadła pani. — Kowalski przytaknął skinieniem głowy.

— Przyjedzie? — pytała dalej.

Znow ruchem głowy potwierdził.

— Ale kiedy? — pytała niecierpliwie.

— Jeśli to powiem, nic mi nie zostanie do urozystego zakomunikowania. — Roześmiał się.

Tyle już pan powiedział, więc proszę powiedzieć i resztę. Właściwie nie mam dziś ochoty na kawiarnię. Wolałabym pójść do kina. Niech pan powie — prosiła.

— No dobrze. Napisał mi, że przyjeżdża na początku stycznia.

— To za kilkanaście dni. — Udawała

zachwyconą, a może to była rzeczywiście radość: zbliżało się zakończenie sprawy.

Do rozpoczęcia seansu pozostało jeszcze kilkanaście minut. Powoli hall zapełniał się ludźmi. Kowalski z Magdą stali niedaleko wyjścia. Film miał powodzenie.

Wszystkie bilety zostały już wyprzedane. Do działania przystąpili młodzieńcy zwani „konikami“. Natarczywym szeptem ofiarowywali bilety po odpowiednio wyższej cenie. Magda przyglądając się im nie zauważyła, że Kowalski komuś się uklonił.

— Przepraszam panią na chwileczkę — powiedział nic patrząc na nią.

Zauważyła, że jest zdenerwowany. Spojrzała w kierunku drzwi. Wchodziły właśnie dwie młode dziewczyny. Jedna z nich zatrzymała ręką koleżankę i, ze wzrokiem utkwionym w Kowalskiego, energicznie skierowała się w jego stronę.

Magda starała się usłyszeć, o czym rozmawiali. Przeszkadzał jej w tym gwar, jaki panował w hallu. Widziała, jak Kowalski stara się uspokoić dziewczynę, która mówiła coś gorączkowo, chaotycznie, podniesionym głosem. Uspokoiła się, gdy zauważyła, że stojący obok ludzie zaczynają zwracać na nich uwagę. Do Magdy docierały fragmenty rozmowy.

— Pójdę na milicję — usłyszała w pewnym momencie. — Już oni sprawdzą, kim pan jest! Naraził mnie pan na kompromitację!

Kowalski schylił się, szepcząc coś nieznamemu do ucha. Poskutkowało: uspokoiła się.

Wyciągnęła notes i coś zaczęła pisać.

— ...ani w' święta, ani w sylwestra nic mogę — znów dobiegły ją słowa dziewczyny

— wyjeżdżam w góry. Wrócę siódmego stycznia. — Była to data przyjazdu „Turysty“.

Magda udawała, że nie dostrzega zdenerwowania wracającego Kowalskiego.

— To nic takiego... — bąknął.

— A miało coś być? — roześmiała się Magda. Nie zdążyła już nic dodać, bo właśnie otwierano drzwi na widownię i wszyscy zaczęli zajmować swoje miejsca.

IV

Do schroniska pozostała jeszcze co najmniej godzina drogi, a już wszyscy byli porządnie zmęczeni. Szli, jeden za drugim, objuczeni plecakami. Razem piętnaście osób. Na czele tego węża, pnącego się w górę, kroczył przewodnik. Chyba tylko po nim nie było widać trudów- drogi. Pozostali gonili ostatkiem tchu.

Ciszkowski szedł ostatni, aby widzieć wszystkich. Miał przed sobą jedenastu młodych mężczyzn i trzy dziewczyny. Beata szła w czołówce, zaraz za przewodnikiem.

Mógł ją dokładnie rozpoznać: nosiła czerwony popelinowy skafander z kapturem obramowanym białym futerkiem. Czerwona plama jej skafandra, odcinająca się wyraźnie na śniegu, nasunęła mu porównanie tego szeregu potykających się ludzi do jakiegoś pełzającego stuTora.

W tej wędrówce dziewczyna była dla niego obiektem szczególnej troski. Polecenie szefa brzmiało wyraźnie: „Jesteś odpowiedzialny za jej życie i zdrowie“. Zresztą i bez tego doskonale rozumiał, jakie grozi jej niebezpieczeństwo.

Odkąd napisała list do Wydziału Paszportów i Dowodów Osobistych Komendy Stołecznej MO z pytaniem, czy po wyjściu za mąż uzyska paszport i będzie mogła wyjechać do Durbanu, zachodziła obawa

o jej życie. Rozmowna w hallu kina z Marianem Kowalskim dawała dużo do myślenia. Wiadomo było, kim jest Kowalski. To że niepoślednią rolę odgrywał w sprawie „Turysty“, można było stwierdzić na podstawie już zgromadzonych faktów. Czy był jednak groźny? Co mógł przedsięwziąć w stosunku do niewygodnych świadków, jak Beata, jeśli doszedł do wniosku, że milicję może zainteresować jej opowiadanie. Przecież trwają przygotowania do ślubu i staranie o wyjazd do Durbanu Magdy.

Mimo w-czesnego popołudnia zapadał już zmrok. Nic dziwnego, był to przecież jeden z najkrótszych dni w roku: dwudzie-

sty czwarty grudnia. Wkrótce miały zapaść ciemności, a tego Ciszkowski obawiał się najbardziej. Pragnął, aby dotarli do schroniska jeszcze przed zmrokiem. Po ciemku nietrudno upozorować wypadek.

Co chwila unosił głowę, aby spojrzeć w kierunku czoła grupy. I niezmiennie widział krocząca za przewodnikiem Beatę. Schroniska jeszcze nie było widać. Pod-chodzili do niego od strony, gdzie było zasłonięte przez strome wzniesienia. Kapitan nie zauważył, żeby ktoś zmieniał szyk, opóźniał tempo marszu czy starał się wy-przedzić innych, by zbliżyć się do Beaty. Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie ukazało się schronisko, i zaraz potem pierwsi z ich grupy zniknęli za otwartymi drzwiami.

Gdy wchodził do środka, rozdzielano już pokoje. Na górze umieszczone zostały kobiety i przewodnik. Mężczyźni rozkwaterowali się na dole. Nie pozostawiono im wiele czasu na odpoczynek i odświeżenie się; za godzinę mieli zasiąść do wigilii.

Ciszkowskiemu wypadło dzielić pokój z dwoma uczestnikami wyprawy. Kiedy stanął przy swoim łóżku i zaczął rozglądać się, gdzie tu ulokować plecak, do jego uszu dobiegł suchy odgłos wystrzału. Rzucił się do drzwi. Pchnął je gwałtownie i chciał

wbiec na schody wiodące do pokoju Beaty — kiedy, już w drzwiach, znieruchomiał. Zobaczył wstążkę dymu, unoszącego się na korytarzu. Strzał — i to z korkowca — oddany został tu, na dole. Poczł rozchodzący się zapach siarki.

Głupi żart czy zasadzka? — zastanawiał się Ciszkowski. O mało się nie zdemasko-wał już na samym wstępie. Jedna z tych osób, które wystawiały teraz głowy z za uchylonych drzwi, dostrzegłaby

go wchodzącego czy wychodzącego z pokoju Beaty.

Od razu byliby jasne, że jest pracownikiem milicji, który natychmiast skojarzył strzał z zagrożeniem życia Beaty. Sprytnie to było, nie ma co, pomyślał.

Spojrzał do góry. Dziewczęta również wyszły z pokoju, aby dowiedzieć się, co się stało. Wśród nich była Beata. Z zaciekawieniem spoglądała w dół.

— Panowie, panowie, komu się zachciewa tych dziecinnych żartów — grzmiał z góry przewodnik, wycierając sobie twarz ręcznikiem.

— Widocznie ktoś już wita święta — odezwał się jeden z uczestników.

Na choince paliło się kilkanaście świeczek. Z kominka, gdzie płonęły suche szczapy, rozchodziło się miłe ciepło. W świetlicy schroniska panował półmrok.

Trzaskający ogień i migotliwe światło świec odbijało się na twarzach zebranych.

Ostatni przyszedł przewodnik. Powód jego spóźnienia był oczywisty dla wszystkich: dużo czasu musiał poświęcić na toaletę. Starannie wygolony, z ułożoną czupryną, w dokładnie wyprasowanej flanelowej koszuli, robił wrażenie wypoczętego, jakby nic miał za sobą całodziennego marszu.

— Moi państwo — przewodnik objął od razu funkcję gospodarza. — Jesteśmy wszyscy młodzi, więc proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu. To scementuje naszą grupę i pozwoli nam mile spędzić święta w tym schronisku.

Lekka siwizna na skroniach i — mimo sportowego trybu życia — zaokrąglający się już brzusek bynajmniej nie przeszkadzały mu uważać się za jednego z nich.

— Jesteśmy z różnych miast — kontynuował. — Proponuję zatem, żeby każdy z nas przedstawił się, powiedział, skąd pochodzi i czym się zajmuje.

Nikt nie sprzeciwiał się tej propozycji. Zwłaszcza Ciszkowskiemu przypadła ona do gustu. Nie liczył na to, że tak prędko uda mu się usłyszeć coś o każdym z ich grupy.

— Proponuję, żeby również podać swój stan cywilny — silił się ktoś na dowcip.

— Z tym dajmy sobie spokój. W końcu to nie jest aż tak ważne — ostudził go przewodnik. — Ja przedstawiam się pierwszy. Nazywam się Alfons Zef-Drzymałkowski. Pochodzę z Krakowa, gdzie studiowałem, a po przerwaniu studiów pracuję w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym. W swoim życiu byłem, chyba cenionym, zawodnikiem narciarskim. Specjalizowałem się w slalomie. Posiadam złotą odznakę PTTK.

Lustrował dokładnie twarze obecnych, chcąc sprawdzić, jakie wywarł wrażenie.

— Ale dość o mnie — zakończył. — Kolej na następnych. — Wskazał na Beatę.

Była ładna, urodą rzucającą się w oczy. Być może dlatego ją pierwszą wybrał.

Wstała nieco stremowana i zawstydzona. Ledwie dosłyszalnym głosem wyszep-tała:

— Beata Jarzyńska. W tym roku zdałam maturę. Wybieram się na studia.

Mieszkam z rodzicami w Warszawie.

Społgądano na nią z zaciekawieniem. Wydawała się bardzo nieśmiała i widać było, że nawet to krótkie wystąpienie sprawia jej trudność.

— Głośniej, głośniej — słysząc było z różnych stron.

Podnosili się następni. Ciszkowski słuchał uważnie. Kilku studentów z Wrocławia i dalej dwie współlokatorki Beaty. Jedną z nich. Janina Kamińska, „pracownik biurowy“, jak sama określiła, mieszkanka Bydgoszczy, i Teresa Walewska, pracownik naukowy z Lublina. Przyszła też kolej i na Ciszkowskiego. Występował pod własnym nazwiskiem: nic było potrzeby robienia z tego tajemnicy. Dodał, że pracuje w radzie narodowej i jest kawalerem.

— A imię? — nieoczekiwanie zapytała Beata.

Spojrzał na nią. Jeszcze przed chwilą nieśmiała dziewczę, patrzyło teraz na niego roześmianymi

oczyma. Tego się po niej nie spodziewał.

— Tomek — odpowiedział z uśmiechem.

— Jancyszyn — usłyszał nazwisko kolejnego uczestnika. Nawet nie spojrzał w jego kierunku. Choć nie przyszło mu to łatwo. Przypadek czy... zastanawiał się. Jeśli to ten sam, który pożyczył z czytelni książki, to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Miał teraz nawet trochę pretensję do majora, że nie pozwolił mu na bliższe zainteresowanie się osobą tamtego miłośnika literatury. Miałby teraz znacznie ułatwione zadanie.

Podano kolację. Apetyt dopisywał wszystkim. Z półmisków znikły szybko smażone ryby i inne przysmaki świątecznego siołu, przygotowane specjalnie na ten wieczór.

Ktoś zaintonował kolędę.

Ciszkowski podszedł do Beaty.

— Chciałbym poprosić panią o chwilę rozmowy, ale nie dzisiaj. Dajmy na to, jutro. Zgadza się pani?

— O czym będziemy rozmawiać? — Dostrzegł zaciekawienie w jej oczach.

— Czy od tego zależy pani zgoda? — odpowiedział pytaniem.

— No nie, ale chciałabym wiedzieć.

— Wtedy rozmowa straciłaby cały urok.

— Nic wygląda pan na takiego tajemniczego.

— Pozory myślą — uśmiechnął się Ciszkowski.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu wszyscy z deskami ruszyli na zjazd. Wrócili; zmęczeni, na obiad, i do wieczora pozostali już w schronisku. Ciszkowski załatwił

dwie ważne sprawy. Rozmawiał z Beatą, która — z początku nie dowierzając, z pewnymi oporami — zgodziła się jednak na jego plan. Drugą rozmowę przeprowadził

z przewodnikiem. Ten był wyraźnie zdenerwowany. Z trudem zdołał mu Ciszkowski wytłumaczyć, jakiej się od niego spodziewa pomocy.

Następnie przystąpił do zainscenizowania wydarzeń, które miały go wyeliminować co najmniej na jeden dzień z rozkoszy zażywania białego szaleństwa. Musiał

czymś uzasadnić pozostanie w schronisku.

Wieczorem, tuż przed kolacją, wyszedł ze schroniska i po chwili wrócił kulejąc, cały oblepiony śniegiem.

— Przewróciłem się — wyjaśnił zebranym.

Przewodnik pomógł mu usiąść na krześle, zdjął but i z wielką wprawą oglądał nogę, a później rozcierał ją i masował.

— Zwichnięta. Do wesela się zgoi! — żartował. — Tylko jutro musisz poleżeć. Nie będziesz mógł jeździć.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Ciszkowski i zerwał się z krzesła.

Nie mógł jednak zrobić nawet paru kroków'. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Zrezygnowany, usiadł z powrotem.

Nazajutrz rano ból nie ustąpił. Ciszkowski musiał pozostać w schronisku. Beata została również. Podjęła się pełnić rolę sa

marytanki, a przy tym chciała się trochę opalić.

Wszystko do tej pory przebiegało zgodnie z założeniami. Gdy tylko pozostali sami w schronisku, Ciszkowski przystąpił do realizacji najważniejszej części planu. Mógł

działać bez pośpiechu: miał dużo czasu. Nie spiesząc się, kompletował niezbędne przedmioty. Długą linę, jakiej używa się przy górskich wspinaczkach, haki skalne i lodowe, dziesięciozębne raki.

Przygotował mu je poprzednio, w wielkiej tajemnicy, przewodnik. Teraz z całym tym rynsztunkiem ruszył w kierunku stromej ściany, znajdującej się o kilkadziesiąt metrów na południe od schroniska.

Ciszkowski ostrożnie zbliżył się do wzniesienia i, nim przystąpił do pracy, dokładnie zbadał teren. Potem odgarnął śnieg, aby wbić kilka haków, do których przywiązał linę. Wszystko dokładnie zasypał śniegiem. Niedaleko punktu, gdzie wbite zostały haki, wybrał sobie miejsce do opalania.

Spojrzał w kierunku schroniska. Było osłonięte niewielkimi wzniesieniami i tylko widać było stąd okno pokoju przewodnika. W oknie stała Beata, w rękę trzymała aparat fotograficzny.

Wrócił do schroniska po narty. Wyszli z Beatą przed schronisko. W dole widzieli narciarzy.

Milczenie przerwała dziewczyna:

— Nie jestem nawet zdenerwowana — mówiła — bo nie wierzę, że coś się może stać.

— Zobaczymy. Ja również nie jestem pewien. A to, że pani nie jest zdenerwowana, to dobrze.

— Dawno pan pracuje w milicji? — zapytała nieoczekiwanie.

— Właściwie to powinniśmy mówić sobie po imieniu. Taka była umowa.

— No więc, jak długo pracujesz w milicji?

— Czy to takie ważne? Już parę lat.

— A dlaczego wybrałaś ten zawód?

— Czy zawsze chcesz wszystko wiedzieć?

— To nie jest odpowiedź.

— Oczywiście, że to nie jest odpowiedź.

— No, więc dlaczego? — Dziewczyna była uparta.

— Widzisz, nie chciałbym, żeby to zabrzmiało sztucznie... Chyba wracają — przerwał.

Spojrzał w dół, gdzie formował się rząd narciarzy, pnących się pod górę.

— No, to do roboty! — Głos kapitana brzmiał energicznie. — Tylko pamiętaj: pod żadnym pozorem nic wychodzi z pokoju. Ja po ciebie przyjdę. — Ostatnie zdanie powiedział z naciskiem.

Po chwili Beata była już w pokoju przewodnika. Przez okno widziała, co robi Ciszkowski. Poczła się jakoś nieswojo, gdy obwiązywał się drugim końcem liny.

Zauważyła, że dokładnie sprawdza sposób zabezpieczenia. Później zarzucił na ramiona jej czerwony skafander i nasunął na głowę kaptur. Założył słoneczne okulary i, zakopując nogi w śniegu, wygodnie ułożył się na przygotowanych uprzednio nartach, tworzących coś w rodzaju leżaka.

Pogoda była słoneczna. Żaden powiew wiatru, żaden najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy w górach.

W miarę upływu czasu Beata coraz bardziej się denerwowała. Czowała, że drżą jej ręce. Bała się, że zdjęcia mogą się nie udać. Ustawiła więc aparat na parapecie okiennym, aby mieć pewność, że zdjęcie nie będzie poruszone. Sprawdziła, czy w obiektywie znajduje się sylwetka opalającego się Tomka. Wszystko było w porządku.

Na rozległej przestrzeni widocznej przez okno zaczęli się pojawiać pierwsi narciarze. Ukryta za firanką, obserwowała uważnie, co dzieje się na dole.

Pierwsze zdjęcie zrobiła, gdy jeden z uczestników zatrzymał się, aby poprawić narty. Musiało to być coś poważniejszego, bo zatrzymał się na dłużej. Wszyscy go wyminęli, a on pozostał sam. Kiedy ostatni ze zdążających do schroniska znikł z jego pola widzenia, zostawił na udeptanej ścieżce narty i ruszył w kierunku postaci w czerwonym skafandrze, wyraźnie widocznej na białym śniegu. Teraz Beata robiła zdjęcia bez przerwy. Widziała, jak Ciszkowski uniósł w górę rękę — jak gdyby odpowiadał na wołanie, którego nie słyszała.

Mężczyzna był coraz bliżej. Beata

wstrzymała oddech. Nagle popchnięte z całej siły narty poleciały w dół. Nacisnęła w aparacie wyzwalacz tak mocno, że aż poczuła ból. Ciemna sylwetka przebiegła pod oknem. Boa ta przykucnęła i dalej robiła zdjęcia — już na wycucie. Widziała tamtego, jak wpadał do schroniska. Poznała go. Był to Jancyszyn.

W tym momencie do pokoju wszedł przewodnik.

— No i co? — Był mdr.o zdenerwowany.

— Stało się — odpowiedziała. — Powinien już wychodzić.

Stanęli oboje w oknie. Widzieli ostrożnie wciągającego się na linie Ciszkowskiego.

Błyskawicznie spakował sznur, haki i skafander ' Beaty do worka i ruszył w kierunku schroniska.

Przewodnik zszedł na dół. Do świetlicy wchodzili również ze swoich pokoi pozostali uczestnicy. Po kilku minutach wszedł kulejąc Ciszkowski.

Usiedli do obiadu. Wkrótce stwierdzono nieobecność Beaty.

— W pokoju jej nie ma — zauważyła jedna z koleżanek.

— Opalała się jeszcze — dorzucił ktoś.

— Proszę ją zawołać — polecił przewodnik.

Od stołu podniósł się Jancyszyn i skierował się do drzwi. Wrócił po chwili, podniecony.

— Nie ma jej -tam — powiedział.

— Jak to nie ma? — Przewodnik poderwał się. Za nim podnieśli się inni. Wszyscy biegli w kierunku urwiska. Na przędzie przewodnik.

— Proszę się zatrzymać, proszę się nie zbliżać! — krzyczał. Sam ostrożnie podszedł do krawędzi. Chwytał się rękoma za głowę. '

— Proszę stąd odejść — komenderował.

— Wszyscy do schroniska. — Prawie siłą zmusił ich do odwrotu. Pomagał mu w tym walnie Ciszkowski.

— Wszyscy zjeżdżamy w dół - wydawał polecenia przewodnik. - • Ty — wskazał na Ciszkowskiego — zostaniesz na miejscu.

— Ja też jadę — upierał się kapitan.

— Nie pojedziesz — powiedział przewodnik głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Zawiadomię górskie pogotowie. — Ciszkowski nic ustępował.

— Zostaniesz. Zjeżdżamy, nie ma chwili do stracenia.

Ciszkowski wszedł do pokoju przewodnika. Zauważył, że Beata nieco przybladła.

Siedziała przy stole, trzymając w rękach aparat fotograficzny. Na jego widok zerwała się z miejsca.

— Nic ci się nie stało? — zapytała troskliwie.

— Jak widzisz, jestem zdrow, i cały — mówił żartobliwym tonem.

— Jeszcze nie mogę sobie tego wszystkiego uzmysłwić. Nic mogę zrozumieć, że groziło mi niebezpieczeństwo. Trzeba chyba aresztować tego człowieka — mówiła gorączkowo.

- I na to przyjdzie czas, ale jeszcze nie teraz. Musimy już iść. Ubieraj się.

Na stole, w jadalni Ciszkowski zostawił kartkę:

Schodzę iv dół. Zawiadomię pogotowie. Może będę tam ;przed wami.

Kobiło się szaro. Szli po śladach pozostawionych na śniegu.

Przewodnik wywiązał się ze swej roli bardzo dobrze. Gdy zjechali w dół, okazało się, że nie można dotrzeć do miejsca, gdzie spodziewano się znaleźć Beatę. Wysłał więc grupę z powrotem do schroniska, a sam pojechał po pomoc.

W drodze spotkał Ciszkowskiego. Poszli na dworzec. Tam czekała na nich Beata.

Pierwszym pociągiem wyprawili ją do Warszawy. Mimo, że była noc, zdecydowali się wrócić do schroniska. Dotarli na miejsce przed północą.

W schronisku nikt nie spał. Wszyscy siedzieli przy stole, oczekując ich przybycia.

Po chwili milczenia przewodnik oświadczył przygnębionym głosem:

— Beata nie żyje, moi państwo. Upadek z takiej wysokości może zakończyć się tylko śmiercią. Tyle razy mówiłem, ostrzegałem, i niestety... — Bezradnym gestem rozłożył ręce. W świetlicy zapanowała grobowa cisza.

— Gdy dotarli na miejsce, już nic żyła

— uzupełnił kapitan łamiącym się głosem.

Nazajutrz do schroniska przybyła ekipa śledcza Milicji Obywatelskiej.

Przesłuchano wszystkich, łącznie z personelem zatrudnionym w schronisku.

Funkcjonariusze MO szczególnie zainteresowali się osobą Ciszkowskiego. On pozostał z Beatą w schronisku, kiedy wydarzył się wypadek. Wszyscy to zgodnie podkreś-

lali, a szczególnie Jancyszyn. Właśnie Jancyszyn pierwszy zwrócił na to uwagę przesłuchującym go funkcjonariuszom MO.

Długo badano miejsce upadku Beaty. Zabezpieczono ślady. W końcu kierujący śledztwem zdecydował się zabrać do komendy Ciszkowskiego.

Piątego Stycznia na lotnisku Okocim w Warszawie wylądował samolot Boeing 707, linii BOAC. lecący z Londynu do Moskwy. Wśród grupy oczekujących na lotnisku byli Magda i Marian Kowalski.

Kowalski co raz to stawał na palcach, usiłując wśród przybyłych dojrzeć oczekiwanego gościa. W końcu zobaczył go. Tamten również go zauważył, bo machnął ręką na przywitanie.

Po odprawie celnej gość znalazł się w hallu dworca lotniczego. Powitanie i pre-zentacja trwały krótko. Magda zauważyła badawcze, ukradkowe spojrzenia.- jakimi przybyły obrzucał jej postać. Wyczytała w jego oczach jakby aprobatę.

Tego „towaru“ nie dostaniesz pomyślała z satysfakcją i uśmiechnęła się do swych myśli.

Pokój w Grand Hotelu był już zarezerwowany. Napiwek cudzoziemca obudził z letargu służbę hotelową. Nic minęło piętnaście minut, a 'już mogli usiąść w kawiarni.

Ale niedługo przebywali we trójkę. Kowalski, aby im nie przeszkadzać, szybko pożegnał się. umawiając się na następny dzień.

Później, wieczorem, Magda napisała w sprawozdaniu: Zaczęliśmy rozmawiać: ja — swym szkolnym angielskim, a on łamaną pol-szczyzno,. Miał -przy sobie słownik angielsko-polski. Powiedział mi, że mu się podobam, że chciałby się ze mną ożenić. Bez pytania mnie o zgodę zaczął ustalać datę ślubu. Małżeństwo chce zawrzeć jak najwcześniej. Jak było postanowione — wyraziłam na wszystko zgodę.

Do ślubu Magdy z Johnem Cardifem pozostało jeszcze parę dni. Termin ślubu wyznaczony przez urząd stanu cywilnego był niemal błyskawiczny. Oblubieniec się spieszył. Musiał — jak wyjaśnił Magdzie

— w bardzo pilnych sprawach handlowych jechać do Londynu. Tam miał oczekiwać jej przyjazdu, który, ze zrozumiałych względów, nie mógł nastąpić zaraz. Musiała otrzymać paszport, załatwić sprawy osobiste.

Zbliżało się zakończenie sprawy. Na kolejnej naradzie u majora Bielaka zrodził się plan finału wielomiesięcznej pracy zespołu pracowników MO.

Wezwany do komendy w sprawie tragicznego wypadku w górach, Jancyszyn przybył punktualnie.

— Proszę usiąść. — Major Bielak wskazał mu krzesło. — Chcemy jeszcze dowiedzieć się od pana kilku szczegółów z ow/ego pamiętnego dnia w schronisku, z grudnia ubiegłego roku. Proszę obejrzeć te zdjęcia. — Podał mu plik fotografii wykonanych przez ekipę milicyjną.

Jancyszyn powoli, nie spiesząc się, przejrzał podane mu odbitki.

— Co pan o tym sądzi? — zagadnął go major.

— Niewiele mogę powiedzieć. — Jancyszyn wzruszył ramionami.

— A o tych zdjęciach? — Major wręczył mu drugi pakiet. Były to zdjęcia wykonane przez Beatę.

Jancyszyn sięgnął po nie bez specjalnego zainteresowania. Ale nagle ręka. w której trzymał pierwszą odbitkę, zastygła w bezruchu. Krew odpłynęła mu z twarzy. Na czole pojawiły się krople potu. Pozostałych zdjęć już nic oglądał. Rzucił je na biurko.

— W co ja się wpakowałem! — jęknął.

- Ten żal jest nicco spóźniony, panie

Jancyszyn. — Major wpatrywał się w niego przenikliwym wzrokiem.

— Jaka kara grozi za to? — Głos mu wyraźnie drżał. Nic jest to twardy przeciwnik, pomyślał major.

— O karze zadecyduje sąd. Dzisiaj porozmawiamy o czymś innym. O motywach zbrodni.

— To nic była zbrodnia, to był wypadek — naiwnie próbował bronić się Jancyszyn.

— Powoli, powoli — ostudził go major.

— Proszę obejrzeć dokładnie te fotografie, a sam pan się przekona, że nie ma pan racji. O, na przykład to zdjęcie. — Major wyciągnął rękę, chcąc podać mu wybraną fotografię. Jancyszyn nie uczynił najmniejszego ruchu.

— Nie chce pan oglądać. A jest ciekawe. Wykonane idealnie. Akurat w momencie, kiedy spycha pan w przepaść człowieka.

— Kto fotografował? Skąd te zdjęcia?

Stojący na biurku telefon zadzwonił niecierpliwie.

— Przynieście do mnie — rzucił w słuchawkę major.

Po chwili wszedł do gabinetu naczelnika jeden z pracowników i położył na biurku niedużą paczkę.

— Jancyszyn — odezwał się major po wyjściu funkcjonariusza. — Oczekuję od pana szczerego i zgodnego z prawdą zeznania. To są zbyt poważne sprawy. Tylko szczerosc i prawda mogą mieć dla pana decydujące znaczenie. A teraz rozpakujemy tę paczkę. — Major rozciął cienki sznurek, jakim był przewiązany pakunek, i powoli rozwijał papier. Położył na biurku okulary i perukę.

— Przeprowadziliście rewizję w moim mieszkaniu pod moją nieobecność! — wykrzyknął Jancyszyn.

— Niezupełnie tak było ale teraz już wiemy, gdzie należy tego szukać. A to —

;

wskazał ręką na rekwizyty — zakupione zostało niedawno w sklepie.

Znów podał Jancyszynowi kilka zdjęć. Była na nich Janka Zgierska, Magda, Beata oraz przybyły niedawno do Warszawy John Cardif.

— Ten cudzoziemiec często zmieniał nazwiska przed przyjazdem do Polski. Pan wic to równie dobrze, jak i my, co to za gagatek i dlaczego zawsze występuje pod innym nazwiskiem.

Bielak nacisnął guzik telefonu. Do pokoju weszła Magda.

— Porucznik Karska się melduje.

— Proszę to zabrać — wskazał okulary i perukę.

Magda zabrała z biurka wskazane przedmioty i wyszła.

— No cóż, panie Jancyszyn. słucham pana. — Major, jak gdyby nic, zwrócił się do osłupiałego mężczyzny. Nie ulegało wątpliwości, że siedzący przed nim niebieski ptak, kombinalorek, bronić teraz będzie tylko własnej skóry. W świetle zgromadzonych dowodów nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do swego losu.

Jedyną jego szansą było wyjawic całą prawdę. Tylko to mogło wpłynąć na złagodzenie kary.

Jancyszyn, zacinając się, z rękami kurczowo zaciśniętymi na kolanach, zaczął swoje długie zeznanie.

Cardifa przyprowadziła do komendy Magda... w sprawie paszportu. Odsyłano ich z pokoju do pokoju. Wreszcie znaleźli się w gabinecie majora Bielaka. Major zapytał najpierw Magdę o jej plany matrymonialne. a później, z pomocą tłumacza, zajął się Cardifem.

— Pan, panie Cardif, już dwa razy brał ślub w Polsce, tylko za każdym razem występował pan pod innym nazwiskiem

— zaczął rozmowę.

Gdy tylko tłumacz przetłumaczył na angielski to zdanie, twarz Johna Cardifa przybrała wyraz wielkiego oburzenia. Zerwał się z krzesła i gwałtownie gestykulując rękami zaczął protestować.

— To jest jakaś pomyłka, to są insynuacje! Ja na to nie pozwolę. Nie macie żadnych podstaw do takich twierdzeń! — mówił podniesionym tonem.

Major uznał, że nadszedł czas na przedstawienia dowodów. Gdy Cardif wyczerpał swoją energię i opadł zmęczony na krzesło, poproszono Jancyszyna. Ten ostatni, w toku poprzednich zeznań, wyjaśnił wszystko. Chodziło teraz tylko o to, aby przy konfrontacji powtórzył niektóre

I ak ty zeznań.

—

Czy panowie się znają? — Major wskazał Jancyszynowi Cardifa.

Tak, znamy sir- — sucho odpowiedział Jancyszyn.

— Jego nazwisko? — dalej pytał major.

—

Które? — rzeczowo poinformował się Jancyszyn.

Wszystkie, jakie znacie — polecił major.

Jancyszyn zaczął wymieniać.

—

Ja tego człowieka nie znam, to jest prowokacja! — Nowa energia wstąpiła w Cardifa. Wymachując rękami, krzychał jeszcze coś, czego nie można było zrozumieć.

Major Bielak z trudem panował nad sobą. W końcu nie wytrzymał i krzyknął:

— Silence, please!

To podziałało. Cardif uspokoił się nieco.

Major polecił Jancyszynowi włożyć perukę i okulary.

—

A tego człowieka pan zna? — brzmiało kolejne pytanie.

Cardif spojrzał na Magdę. Stała z boku, wyglądając na postronnego obserwatora.

—

Czy zna pan tę dziewczynę? — Major podał mu zdjęcie Janki Zgierskiej.

— Nie znam! — wydzierał się Cardif.

Tłumacz w pośpiechu tłumaczył pytania

i odpowiedzi, nie bez trudu dostosowując się do rytmu i tempa wydarzeń, jakie rozgrywały się w gabinecie.

Major kazał usiąść Cardifowi.

— Proszę zacisnąć lewą rękę.

Zdziwiony Cardif wyciągnął zaciśniętą

pięść. Przy serdecznym palcu brakowało kostki. Podano tłumaczowi list, aby odpowiedni fragment przeczytał Cardifowi. Był to ten sam, w którym Janka Zgierska pisała do swej matki o tym znaku szczególnym męża. Ta wzmianka w liście miała teraz kapitalne znaczenie. Cardif stracił pewność siebie. Milicja dysponowała dowodami nic do odparcia.

Na propozycję majora przeprowadzenia konfrontacji z matką Janki — Cardif powiedział zrezygnowany:

—

Nie trzeba. Chcę się skontaktować ze swoim adwokatem.

— To już rozsądniej. — Major odetchnął.

—
Muszę być za parę dni w Londynie.

— Cardif wyluszczał swoje racje. — Jak wysoką kaucję mam wpłacić?

—
O kaucji możemy rozmawiać, ale pod jednym warunkiem. — Major patrzył na Cardifa.

—
Jaki to warunek? - Cardif nie ukrywał zainteresowania.

—
Najpierw- muszą wrócić z Durbanu do Warszawy te dwie polskie dziewczyny.
Pan, panie Cardif, wie, o kogo chodzi.

—
To trochę potrwa. — Rzeczowość Cardifa nie zaskoczyła nikogo w gabinecie.

—
Wiemy o tym i nic na to poradzić nie można. — Major uśmiechnął się z ironią.
Upłynęły jeszcze dwa tygodnie, nim pani Zgierska mogła uściskać swoją córkę.
Wróciła również do Katowic Teresa Marek.
Cardif wpłacił kaucję i opuścił Polskę.

—
On tu już chyba nigdy nie zajrzy — powiedziała Beata do kapitana Ciszkowskiego, który odstawił cudzoziemca na lotnisko.

—
Takich turystów nam nie trzeba. — Kapitan patrzył w ślad za Cardiem, który zniknął właśnie w drzwiach samolotu.

Gdy wychodzili na ulicę, Beata nagle powiedziała:

—
Wiesz, Tomek, zadałam ci naprawdę głupie pytanie wtedy, w schronisku...

—
Jakie pytanie? Nie pamiętam — zdziwił się kapitan.
Zapytałam cię, dlaczego wybrałeś właśnie taki zawód.

KONIEC